

LIŚĆ FIGOWY.

FRASZKI.

TEGOŻ AUTORA:

<i>Jedynę dzieło.</i> Nowele . . .	Kraków	1892.
<i>U ogniska</i>	„	1893.
<i>Grzech</i>	„	1894.
<i>Sam na sam</i>	„	1895.
<i>Pneumatyk nr. 301</i> . . .	„	1896.
<i>Topielec</i>	„	1897.
<i>Dobro publiczne</i>	„	1898.
<i>Sposób na dyabła</i>	„	1899.

Pod prasą:

La soif du Divin. — *Podróż do Jeruzalem*, dwie nowele, Poznań.

Zygmunt Niedźwiecki.

Liść figowy.

Fraszki.

KRAKÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

1901.



174145

Drukiem W. Korneckiego w Krakowie.

LIŚĆ FIGOWY.

Ta, którą kochał, liczyła lat szesnaście i nazywała się Lola. Strumień złotych włosów opływał jej ładną główkę a kształty w letniej, prostej, dziewczęcej sukience nasuwały myślom obraz Afrodyty, wynurzającej się z pian... Nie była to dziewczyna, o której się marzy, lecz jedna z tych, za którymi się biegnie. Nie była to lilia biała i czysta, ale płonąca róża. Czar, jaki kobieta młoda i powabna sieje dokoła, nie był w dziewczęce tej utajonym, jak zapach w drobnym kwiecie nikłej woni, lecz bił od niej zdaleka, jak bije żar od słońca, jak szum leci od morza, jak wybuchają, by zalać wszystko, słodkie i mocne wonie rozkwitłych na wiosnę ogrodów południa.

Ale nie o to tu idzie.

Pewnego razu siostra Loli — starsza jej siostra i opiekunka — trzydziestoletnia zameżna pani Wanda, zesłała ich w jednym z ogrodów na schadzce.

Jak oddać grozę tego zdarzenia?... Była to niby nagła burza w piękny dzień lata: czarne chmury w miejsce błękitu, huk grzmotów i cienkie, ostre gzygzaki błyskawic.

Spłoszeni rozbiegli się, dziewczyna chichocząc skrycie, on — przerażony, jak złoczyńca,

którego schwymano na gorącym uczynku, nic nie widząc, nie słysząc, nie czując, oprócz ohydy swej zbrodni.

Pani Wanda napełniała go zawsze nieopisanym strachem. Wobec podlotków ten chłopiec dwudziestoletni czuł się pełnym animuszu jak głuźec w gronie wzdychających do miłości samiczek. Ale kobieta „dorosła“, kobieta w pełnym rozkwicie, onieśmielała go, przejmowała upokarzającym drżeniem niższości, jakby była czemś nieskończenie wyższym od niego i doskonałym.

Skąd to pochodziło?... Czy to był respekt przed jej wiekiem?... przed jej monarszą pewnością siebie, przed jej wspaniałym biustem, przed tem spojrzeniem dziwnem, pełnem jakiejś tajemniczej wiedzy i siły, które przewiercało go na wskrós niby spojrzenie przywykłej do zwycięstw królowej?... Czy było to uszanowanie dla jej wysokiej rangi mężatki, dla majestatu miłości legalnej, której była w jego oczach upoważnioną kapłanką i może mistrzynią, gdy on czuł się w tej dziedzinie tylko kłusownikiem i zapewne partaczem?... Może to było poprostu nieczyste sumienie uwodziciela, lub — żeby nie przesadzać — jednego z uwodzicieli jej siostry?... Koniec końców bał się tej kobiety i unikał jej. Czyniła na nim wrażenie wrogiej i groźnej mocy, której się trzeba strzedz.

A teraz przyłapała ich na schadzce!...

Szalone myśli zjawiać się poczęły w jego głowie o następstwach skandalu... Pojedynek...

proces... przymusowy wyjazd... awantury z rodziną, z dwoma rodzinami!... Noc bezsenna, jaką spędził, dała mu poznać wszystkie piołuny miłości w grzechu.

Wtem rano otrzymał list. Pismo kobiece. Otworzył. Podpis pani Wandy. Struchlał. Zamknął oczy, nie mając sił czytać. Przeczuwał przecie, co znajdzie. „Nikczemny postępek pański“ — albo: „Podłość, jakiej się pan dopuściłeś“...

Po długiej walce podniósł list do oczu.

„Dobry Panie Bolesławie!... Czy nie zechciałby Pan zaczekać na mnie dziś rano między ósmą a dziewiątą na jarzynowym placu, gdzie przyjdę po zakupy?... W nadziei, że Pan poświęci mi chwilkę czasu, o którą proszę, kończę słowami: „do widzenia! Zyczliwa — W. S.“

List uderzył w niego jak grom. Więc tam... na jarzynowym placu dramat się rozegra.

Jak nieprzytomny poszedł. Śliczne kuchareczki i gosposie, których wystawa odbywa się codziennie o tej porze w wspomnianym punkcie miasta, tuzinami snuły się dokoła, nie czyniąc na nim wrażenia. Jego posępne oczy, jego myśli desperata odwracały się od uciech życia. Jak Hamlet w trupią czaszkę, wpatrywał się ponuro w główki kapusty na straganach, szukając w nich rozwiązania tragicznej zagadki bytu.

Naraz szmer sukni — woń perfum — i wesołe, przyjazne, ciepłe:

— Jesteś pan?... To ładnie. Potrzyj mi pan książkę...

A potem do sługi, w chwili kiedy już piastował w drżących rękach elegancki modlitewnik, oprawny w pąsowy plusz z złoconem okuciem i pachnący jak jego właścicielka:

— Franiu, idź też do mączarza po kaszkę i weź tartej bułki. Ja wstąpię jeszcze na chwilę do Franciszkanów. Masz tu pieniądze. Nie zatrzymuj się nigdzie, proszę cię. A nie zapomnij o cytrynach...

Zostali sami... Boże!...

Nie, ona go lżyć nie będzie. Nie podrapie mu także twarzy ani nie podbije oczu. Ale mu wypowie dom i zakaze zbliżać się do Loli... W delikatny, pełen wdzięku ale nielitościwy sposób zdepcze go jak robaka i zostawiwszy w prochu jego hańby, odejdzie — ta piękna!... ta wspaniała!... której nie darmo bał się jak ognia — przeczuwał w niej Nemezys...

A może zechce go nawracać?... Może każe mu przywdziać zakonną suknię?... Powierzona mu książka była niby wskazówką dla grzesznika.

Ona tymczasem zaczęła:

— Chodźmy w aleje, tutaj za wielki ścisk. Jak dzisiaj ładnie?...

A kiedy się znaleźli w sklepionych zielenią kasztanowych krużgankach, gdzie złote blaski słońca zdawały się z niego szydzić, odezwała się życzliwie, z lekką nutą wesołości w głosie:

— Panie Bolesławie!... i co pan najlepszego wyrabia?!... Co pan sobie myśli!... Zrozumiał pan naturalnie, że mówię o tem... w ogrodzie...

Czy słyszał kto podobne rzeczy?!... Przyznam się panu, że miałam pana za dojrzałego, o wiele dojrzałego... A tu się pokazuje, że ten chłopiec, chociaż potrafi głowy zawracać podlotkom, jest jeszcze taki dzieciak... Jakże to można!... W biały dzień!... w publicznym ogrodzie!... gdzie setki oczu patrzą... A! doprawdy, jestem zgorszona... Co za lekkomyślność! Loli się oczywiście nie dziwię, bo to przecież zupełnie głupiotkie... Ale pan! pan!... Żeby też już nie wymyśleć stosowniejszej godziny i miejsca!... Pan się chyba nie zastanowiłeś, lub to się stało przypadkiem... Pomyśl pan, na co narażasz ją i siebie?!... Bo koniec końców i dla pańskiej reputacyi nie może to być bez następstw. Ale przedewszystkiem ona. Za zaufanie kobiety należy jej się przecież dyskrecya... Nie powinno się jej wystawiać na śmiech, złe języki, wytykanie palcami... Ją mogą usunąć ze szkoły, proszę pana... Ona przecież kiedyś zechce wyjść za mąż... Czy pomyślał pan o tem?... A widzi pan. Ja rozumiem prawa młodości... Nikt lepiej odemnie nie usprawiedliwia bicia młodych serc... Ale nie trzeba się poddawać głosowi serca w taki sposób, jak gdyby jutro już miał przyjść koniec świata... Więc słuchajcie sobie ostatecznie, moje maleństwa, skoro wam tak pilno, waszych serduszek, ale po co — pytam się — ma o tem zaraz wiedzieć całe miasto?...

...Mówiła długo, lecz zajmująco. Mówiła o Ewie i o pierwszym grzechu, o pięknie i o rzeczywistości, o tem jak ludzie sądzą drugich a jak sa-

mych siebie, o dziecięcych miłostkach podlotków i o innej, doskonalszej miłości, do jakiej nie jest zdolnem serce szesnastoletnie... Główny jednakże nacisk położyła na jednym: na szczytnem posłannictwie, jakie ma liść figowy nietylko w sztuce rzeźbiarskiej, ale i w dziejach świata oraz w życiu jednostek...

Zasłuchany w muzykę słów i głosu tej strasznej kobiety, w której tyle dlań było łaski, pragnął bez końca upajać się jej bliskością, — gdy naraz znaleźli się przed Franciszkanami.

— No, do widzenia, oddaj mi pan książkę. Mam nadzieję, że nietylko nie uraziłam pana, ale nawet zdobyłam maleńkie prawo do pańskich względów i że publiczne ogrody będzie pan od-tąd uważał za wyłączną własność słowików i bon... Za to częściej pan może do nas zaglądnie. Bo u nas przecie nietylko sama Lola widuje pana rada. Jeżeli pan jednak ma tak mało zaufania do mnie, która jestem panu bardzo życzliwą, i do mego męża, który pana także bardzo lubi, chociaż tak rzadko bywa w domu — cóż robić?... przychodź pan ostatecznie jak mnie i męża nie będzie... ale pan przychodź. Przynajmniej pan to ?...

Nim miał czas zebrać myśli, oddech, zdobyć się na jakieś banalne słowo w chwili, kiedy w duszy jego powstawały hymny — zniknęła w mrokach przedśionka...

Tego wieczora Lola uczyniła mu po raz pierwszy zarzut, że jej już nie kocha.

AFISZ.

Konie dobywały resztek sił, ludzie stracili oddawna wszystkie siły i nadzieję.

I wlokły się, wlokły, krok za krokiem, wśród trzasku drabek i zgrzytu osi, na wyprężonych postronkach, pod górę, w upale, oba wozy, wyładowane ludźmi o czerwonych ze znużenia i gorąca, spotniałych, brudnych, na pół śpiących i całkiem wściekłych twarzach. Bezlitośne słońce lipca nad ich głowami sięgało zenitu.

Było ich kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet, po większej części młodych, bez wyjątku głodnych i obdartych. Cała prowincjonalna trupa teatralna, pod wodzą swego kierownika i entraprenera, takiego samego jak oni wędrownego błazna, tylko starszego, chytrzejszego, bardziej steranego na duszy i ciele.

On jeden nadrabiał miną w tej ciężkiej chwili. Szło mu o swoje kości. Czuł wrzenie buntu w duszach tej bandy zgłodniałej, która uciekwszy przed wierzycielami nocą z ostatniego pola walki, trzecią już dobę tułała się tak od miasteczka do miasteczka, odpędzana ze strachem przez chałupników, oberżystów i szynkarzy, jak banda złodziei niemal, a w każdym razie indywidualnie bardzo podejrzanej konduity.

Ostatnią noc spędzili w szopie zajezdnej karczmy, śpiąc, jak kto mógł, na wozach i w pustych żłobach. Ostatni raz jedli wczoraj o godzinie czwartej z południa. Ceber maślanki, zakupiony przez dyrektora za ostatniego guldena ryczałtem dla całej trupy, zniknął wraz z dużym bochenkiem chleba w przepaściach ich żołądków w jednym mgnieniu oka, jak łan dojrzałego zboża znika pod ławą szarańczy. Od tego czasu nic w ustach!... nic. Ani kieliszka wódki, ani skórki z chleba, ani nawet papierosa. Nic — tylko ciągłe rachuby na najbliższe miasteczko, które zawodziły, i ciągłe bezczelne obiecanki dyrektora:

— Czekajcie!... Cierpliwości!... Już ja dla was mam coś pysznego na sam ostatek...

Z początku wierzyli mu. Z instynktownego strachu przed rozpaczą brali szczerą, głośny udział w jego nadziejach, projektach. Układali kolejno repertoar na Mieszki, Brzarę, Zagórz, Parkany, Nowy Zdrój. Wszędzie spotykał ich zwód. Tutaj nie było sali na widowiska, ówdzie była zajęta na inny cel, gdzieindziej teren, wyjałowiony przez kilka z rzędu trup, stał się dla teatrów niegościnnym na długo. Wówczas poczęli przekpiwać dyrektorskie plany, poddając się coraz bardziej jadowi zwątpienia. Wreszcie z latających jak noże szyderstw i docinków wynikła formalna wojna. Zgiełk obelg, oskarżeń, wyrzutów, omal że nie doprowadził na wozach do bójki. Wszyscy obwiniali i lżyli wszystkich, i każdy komuś pięścią wygrażał. To przez ciebie!... To przez was!... To przez panią!... Zer-

wałeś pan spektakl! Nie uczyliście się ról! Odstręczałaś pani porządną publiczność!... Naraz nastąpiła cisza. Jak chmara psów, gryzących się o kość, które kij rozgoni, — bocząc się na siebie, z chmurnymi minami, z duszą pełną przekleństw i wewnętrznych pogroźek, oniemiemi nadmiarem wściekłości, skurczyli się na swych siedzeniach i ściśnięci w jeden kłęb kiwali się bezwładnie za każdym wstrząśnieniem wozów, na które z gościńca wlatywał ciągle biały pył wapienny i zasypywał odzież, włosy, twarze i gardła.

A z góry lały się bez przestanku złociste potoki lipcowego skwaru, a dookoła pola pyszniły się bujnym plonem, sady — dojrzewającymi owocami, ludność wiosek — dostatkiem, jaki na nią zsyłały nieba. Tylko oni sami, oni jedni, oni! kapłani sztuki!... szerzyciele światła!... Apolinowe dzieci!... cierpieli nędzę, zmuszeni tułać się jak żebracy!...

W trupie były same prawie dzieciaki, jak zazwyczaj. Paru uciekinierów ze szkół, ze sklepów, z warsztatu, znęconych sztucznym blaskiem sceny w świetle kinkietów, zakażonych od jednego razu jakby chorobą, pragnieniem robienia tego samego, co robią ci ludzie z pomalowanymi twarzami tam, na scenie, gdzie patrzy oczu tyle; — kilka wykolejonych szwaczek, jedna kokotka z ambicyą, szukająca w teatrze maski, druga bez ambicyi, szukająca w nim reklamy; nakoniec dwu czy trzech weteranów cyganeryi teatralnej, najweselszej ze wszystkich, najbiedniejszej i najbardziej upadłej.

Z całej załogi wozów tylko dwu ludzi zachowuje flegmę i spokój umysłu, żywiąc się w normalnych odstępach czasu chlebem i serem z węzełka i paląc śmierdzący tytoń: furmani, zarazem właściciele wozów i koni, dwaj górale, ojciec i syn.

Na każdej stacyi, z spokojem ludzi czujących się w swem prawie, żądają od dyrektora zapłaty. Ugodzeni na jedną noc, jadą już trzecią dobę, nie otrzymawszy grosza; żądania swe postawili dziesięć razy. Dziesięć razy usłyszeli opryskliwą odpowiedź:

— Czekać! czekać!... Nie dojechalśmy jeszcze. Jak będziemy na miejscu!...

Na miejscu!.. To znaczy: gdzie?!... To znaczy tam, gdzie zjawi się pierwsza twarz, w której oczach da się wyczytać: „ten głupiec pożycz dwadzieścia reńskich“.

Jakiś głos na wozach — wszystko jedno czyj, głos ten szedł z duszy wszystkich — zacharczał złowrogo:

— To trzeba być ostatnim łotrem, żeby narażać tyle osób na takie przejścia...

— Łotrem?!... Hi! hi!... Doskonałe!... Niby to ja coś temu winien jestem, że aktorzy jak świat światem robią wszędzie skandale!... że zostawiają po sobie brudy w każdym mieście i że potem nauczona doświadczeniem publiczność bardziej się boi aktorów, niż dajmy na to wściekłego psa. Niby to ja winien!... Łotrem!... To się łatwo mówi... Każdy wygląda na łotra, jak mu się źle powodzi. Ale czy ja temu co winien? Czy jabym nie wolał powodzenia?...

Nie może jednak z nimi zadzierać. Ta banda wrogów, to koniec końców jego chleb, ich chleb, wspólny chleb wszystkich. Zebranie w imię sztuki całą bandą bądź co bądź lepiej idzie zazwyczaj niż w pojedynkę. Piętnaście osób — to się już nazywa: teatr, towarzystwo!... To już można dawać Szekspira a nawet co łatwiejsze operetki.

Dodaje więc wesołość, z tym kłownowskim humorem, który go czyni królem prowincjonalnych komików:

— Zresztą powtarzam raz jeszcze: panowie i panie! cierpliwości!.. Już jesteśmy niedaleko, zobaczycie. Tam, za tą górą, skoro tylko z wozu wyjedziemy. Za mały kwadransik.

Mały kwadransik trwał dużą godzinę. W chwili kiedy toczące się ciągle wozy dosięgły szczytu pochyłości, naraz dyrektor wstał z swego miejsca i z gościem Kolumba, pokazującego załodze nowy ład, zawołał:

— Widzicie?... Tam!!

Ogromna kępa drzew, jak zielona oaza wśród żółtych łąków ukazała się w odległości jednego kilometra.

— Co to?!... Co to?!...

— Zabki!!

Zabki!... Miejsce kąpielowe w pełni sezonu! Że też nikomu na myśl nie przyszły!... Prawda!... Zabki!...

I naraz zajaśniało przed ich oczyma, jakby cudem, rajskie życie miejsc kąpielowych: te tłumy ludzi próżnujących, znudzonych, żądnych zabawy, mających pieniądze i gotowych je wydać,

ta wymarzona, bajeczna niemal dla prowincjonalnego aktora „inteligentna“ publiczność, w przeciwstawieniu do opętanych manią wielkości zaściankowych dygnitarzy i kołtuneryi małych miasteczek.

Zabki!... A więc czyste, suche, wygodne kwatery, wielka sala, europejskie oświetlenie, ucziwa muzyka, kredyt w restauracjach, okazyjki dla mężczyzn, okazyjki dla kobiet... dla kobiet zwłaszcza!...

Wozy ożyły. Młodszy poczeli zeskakiwać na gościniec, bo im konie za wolno szły. Rwało ich naprzód, chcieli je wyprzedzić. Wszystko prostowało się, otrzepywało suknie, poprawiało włosów, kapeluszy, przeglądało się w lusterkach, próbowało uśmiechów, odnawiało przyjaźnie: menażerya wracała na łono kultury.

Gwar i śmiech napełnił wozy. Napełniła je zmartwychwstająca miłość. Hufiec zdobywców odgrzewał wystygłe braterstwo przed uśmiechającą się kampanią, do której należało zjednoczyć siły. Dyrektor-czarodziej śmiał się, zacierał ręce, tryumfował.

— A co!... Poprawiły wam się humory?!...

— Złoty dyrektorku!... tylko też nie zapominaj, że my dzisiaj nic jeszcze nie mieliśmy w ustach...

— Maluczko — a będziecie nakarmieni!... Ale przede wszystkim proszę o afisz!

Zaczęto odkopywać w kłębach słomy pakę z afiszami i wydobyto jeden — zielony! w kolorze nadziei!... Skoro tylko wjechali między

pierwsze domy, zakomenderowano: stać! Wozy zajęły w cień, koniom zdjęto uprząż, podano obroku, dyrektor dobrał sobie do towarzystwa najokazalszego z amantów i najbardziej wziętą amantkę, którzy powypożyczali sobie od kolegów co lepsze kapelusze, rękawiczki, okrywki, aby się jak najwspanialej sprezentować, i z zielonym inauguracyjnym afiszem w ręce ruszyli śmiało w głąb Zabek, odprowadzeni błogosławiącym spojrzeniem pozostałej drużyny, która z rozpogodzonymi czołami i blaskiem w oczach, wachlowała połamami twarze, czerwone z upału i wzruszeń.

...Mówiono do siebie nie wiele, za to pracowało myślą. Każdy układał w skrytości plan działania: zaliczki — role — podział kwater. Obiecywali sobie niebывały sezon. To im skraccało czekanie, mimo ubiegających szybko kwadransów.

Nakoniec tamci ukazali się z powrotem.

Poznawszy trójkę wysłańców na samym końcu alei, biegli naprzeciw nich oczyma pełnemi pytań.

Szli jednak bardzo wolno, jak gdyby im się nie spieszyło wcale, jakby im nie zależało na tem, by dojść raz przecie.

Już w pół drogi postawy ich i miny — dyrektora szczególnie, — zaczęły nie podobać się patrzącym.

W milczeniu przyszli, ciszą obawy czegoś strasznego ich przyjęto.

— Ojciec!... Konie pojadły?... — odezwał się drewnianym głosem dyrektor. — Zaprzęgajcie. Jedziemy dalej.

— Jakto!... Nie zostajemy?!... Czemu?!.. —
zawyla ze zdumieniem wieksza polowa osob.

Za cala odpowiedz siegnal do kieszeni i wy-
jal z niej afisz, drugi, inny afisz, i rozwinawszy
szeleszczaca zlosliwie szmate zoltego papieru —
zoltego! niby szyderstwo — pokryta duzym,
czarnym, krzyczacym drukiem, podal najblizszym:

Schwycilo ja dziesiec rak naraz. Czytali pol-
glosem:

We wtorek dnia... danem bedzie...

W Zabkach znajdowala sie juz inna trupa...
Rece im opadly.

— A! psia krew!... bodaj to pioruny zatrza-
sly!... — krzyknal ktorys, mnac afisz zlowie-
szy i rzucil nim z pasya o ziemie.

— Mozebyśmy mogli z nimi sie polaczyc?...

— Proponowalem. Nie chca. Jest ich dwa-
dzieścia kilka osob. Za wiele.

Fatalnosc. Spojrzenia, usmiechy gasly, na
twarzach ukazywal sie glod, gorycz, zlosc, szal,
glowy opadaly ku ziemi pod obuchem rozpaczy.
Najoporniejsi wiazili czempredzej na wozy, aby
sobie przynajmniej wybrac lepsze miejsca; re-
szta toczyła blednym wzrokiem.

Dyrektor, ktory na widok spojrzeń i zaci-
snietych szczek paru mezczyzn, uczuwal zimne
dreszcze, — jak pogromca, ogluszajacy krzykiem
czajace sie do skoku bestye, klaskal w rece
i wrzeszczal naglaco:

— Wsiadać!... jedziemy!...

Oglądał się przytem niespokojnie za aktorem i aktorką, którzy mu towarzyszyli w wyprawie. Nie podobały mu się ich szepty na boku z dyrektorem tamtej trupy. Trochę przed nim przechwalił ich talenta. Przeczuwał coś.

Tymczasem dwaj górale, opierając się na biczyskach, stanęli przed nim z przenikliwemi oczyma sędziów, siłących się na cierpliwość, i z zapytaniem:

— Panie, jakże będzie z zapłatą?

Wstrząsnął rękoma, jakby go za nie chwytano. Odskoczył ku wozom i spinając się na jeden z nich, zawołał z udanym gniewem, z pod którego wyzierał strach:

— Jazda!... jazda!!... Jeszcześmy nie skończyli drogi! Za przybyciem na miejsce!...

Górale patrzyli za nim chwilę bez ruchu. Potem starszy pokiwał głową i mruknąwszy przeciągle:

— Oj pomykace!... pomykace!... — poszedł zakładać koniom chomąta.

W chwili gdy wozy ruszały, na końcu jednego z nich najokazalszy amant, korzystając z trzasku drabek i brzęku upręży, szepnął w ucho najbardziej wziętej amantki:

— Tylko pamiętaj pani, przed nikim słowa, boby nas ten łotr nie puścił... Na noclegu udawaj pani, że śpisz, a ja się zajmę naszymi kufram i dryndą, którą za nas w Zabkach zapłacą. Pod tym warunkiem przyjąłem *engagement*.

BRATNIE DUSZE

...W ogrodzie koncert trzech orkiestr pod osobistym kierunkiem kapelmistrzów. Pogoda jest prześliczna, bufet tani i dobry, doprawdy warto żyć.

Co tylko wybiła siódma. Słońce świeci blado. Jak dopalający się fajerwerk, zdaje się ono rozpuszczać, rozpływać, rozpraszać w powietrzu, zostawiając po swym świetnym blasku najpierw złote, potem mosiężne, miedziane, szkarłatne, wreszcie karminowe i fioletowe wstęgi, smugi i plamy na olbrzymim, seledynowo-błękitnym ekranie nieba.

Szare ścieżki i place, wszyte w zielony plusz ogrodu, pstrzą się jeszcze tysiącem jasnych barw. To letnie toalety kobiet, tych dziwnych, czarodziejskich istot, ruchliwych jak ptaki, mówiących cienkimi głosikami dzieci, chichoczących jak rusałki, umiejących sobie nadawać blask klejnotów, odurzające wonie kwiatu i tęczową świetność bańki mydlanej.

Otoczają je roje owadów czarnych, brunatnych i szarych, wąsatych, cienkonogich, sztywnych, często niezgrabnych i brzydkich, zawsze bez wdzięku, z kijami w dłoni, szkłem w oku i dymiącym papierosem w zębach. Tamte śliczne istoty

zdają się o niczem innem nie myśleć, tylko o zwracaniu na siebie uwagi tych śmiesznych i brzydkich. Wszystko to snuje się, tłoczy, strzela oczyma, które całują lub wymierzają policzki, i mówi, mówi, mówi!... czyniąc twarde, chropowaty gwar, podobny do rechotu żab w oddali, lub klekotania bocianów przed odlotem.

Od czasu do czasu daje się słyszeć muzyka. W tej chwili rozbrzmiewa marsz weselny z „Lohengrina“. Ten marsz!...

Z mosiężnych gardzieli trąb wypada burzą jakby radosne rzenie tabunu koni, upitych wiosną, zmieszane z świergotem tysiąca ptaków. Cała męzka, wściekła moc, jaką młode płuca są w stanie wydobyć z helikonu, puzonów, waltorni, wybucha w przestrzeń wezbraną strugą dźwięków, które nakształt stada złotych ptaków, trzepocąc się i ważąc, mieniając i błyszcząc, zataczają po niej godowe kręgi. Kobięcy śpiew *flügelhornu*, nosowe pomruki fagotów, bulgotanie klarinetu i łaskoczący pisk obojów, fletni, pikulin, rozpryskują się pękającymi gwiazdami w powietrzu, szarpiąc je, rozrywając, waląc w nie młotami akordów, to znowu głaszczą, tulą, całują, pieszczą, nasycają odurzający powiew wieczoru słodyczą snów. Bóg-Wagner wkracza w całym majestacie swej sztuki.

Nikt go nie słucha. Wymieniwszy nazwisko autora i tytuł „kawałka“, aby się nie wydać ignorantem, wraca każdy skwapliwie do talerza, intryg, flirtu i dowcipów ulicznych.

Właściwie jednak słuchają i to z zapamiętaniem dwie osoby: dyrygent — i stary generał. Ten ostatni, siedzący w skupieniu naprzeciw kiosku orkiestry z rękoma na rękojeści pałasza, składa w duszy hołd: *dem deutschen Genie*.

...Lyra także nie słucha muzyki. Lyra w ogóle nie zajmuje się wcale muzyką. Lecz Lyra jest tylko klaczą, — małym, bielutkim, zgrabnym jak zabawka dla dzieci kucem-klaczą pułkowej muzyki, za którą wozi w czasie marszów duży bęben, a kiedyindziej instrumenta i nuty.

O kilkanaście kroków od pawilonu orkiestry, po za grubą ścianą bżów, stoi wtoczony w zieloną ustronń wózek z pudłami na instrumenty a przy nim Lyra. Uwolniony z uprząży, nagi, biały, czupurny jej łebek, obłany różowym blaskiem zachodu, ma w sobie coś z wdzięku odsłoniętej szyi kobiecej. Oganiając się komarom i strzygąc uszyna, drzemie zmrużywszy oczy, zadowolona z świeżej trawy, z chwili pokoju, z życia zresztą.

Obok, wsparty o wózek niedbale, wzdycha z miną osowiałą Pietrek Bajda, szeregowiec, pełniący służbę woźnicy Lyry. Jej najbliższy przełożony, jej towarzysz i przyjaciel, ten dobry, troskliwy koleżka, który ją czesze, myje, poi, żywi, strofuje i pieści — jedyny człowiek, co nie nazywa jej po cudacku Lyrą, ale poprostu „siwa“, jak Pan Bóg przykazał.

Klacz, odczuwając nastrój towarzysza, zwraca doń łebek, obwąchuje go a potem szczypie za mundur delikatnie wargami, jakby mówiła:

— Nie trap się Pietrek, nie trap... Co się tam będziesz trapił...

W westchnieniu Pietrka słycać odpowiedź:

— Ej siwa, co ty wiesz...

Wysłuchany w śpiew much, wpatrzony w zachód, w białe welony mgły, wychodzącej na świat z dołków błoni, gładzi palcami uciętą na kształt szczotki lub grzebienia greckich kasków grzywę Lyry i przypomina sobie wieś...

DZIADZIO.

— I cóż to paniusi dolegać może, przy tak świetnych pozorach?! — wyrzekł przyzwany lekarz, przyjaciel domu zarazem, wiedząc z praktyki, że komplement leczy często u kobiet trzy czwarte choroby.

— Ależ nie o mnie tu idzie. Jestem wprawdzie trochę zdenerwowaną, czy też zmęczoną, czy skłopotaną, czy wszystko razem — ale to wszystko przez dziadzia.

— Jakto?... pocziwy radca?!...

Właśnie. Choroba pani, ba, choroba całego domu, dla której wezwano konsyljarza, nazywa się: dziadzio. Przy tem wyznaniu oczy pani domu, sławnie piękne, stają się pełne smętku, jak dwa górskie jeziora w dzień burzy.

Kobieta trzydziestoletnia, tak piękna i tak pełna werwy, chce i ma prawo być w swoim domu panią wszechwładną... Jest też nią. Ale istnieje w jej państwie partya rewolucyjna a raczej jeden jawny malkontent, usiłujący taką partyę stworzyć, jeden duch przewrotu: dziadzio. Staruszek jest nudny, nerwowy, grymaśny, gadatliwy, wściubski, do wszystkiego się mięsza, wszystko krytykuje, każdemu daje się we znaki... Mój Boże! używa w domu należnego, więc największego

w świecie szacunku, ale doprawdy że nadużywa go... Nadużywa!

Niezadowolony z objadu, wstaje w połowie tegoż od wspólnego stołu i z ceremonialnym ukłonem wychodzi. „Co za wrażenie na dzieci! na służbę?!...“ Tysiące innych rzeczy. Papuga mu zanadto hałasuje, dziewczęta za wiele etud grają, przyjaciółki pani odwiedzają ją zbyt często. Dziś rano wytargał za ucho służącego, który chce podziękować za służbę, a kiedyś, zaczawszy ni stąd ni zowąd uczyć musztry małego Władzia, niezadowolony z postępów, kazał chłopcu za karę stać w kącie. Dziecko się zapłakało...

— Ja sama nigdy ich nie karzę w taki sposób, mój doktorze...

Jednem słowem odkąd umarł ostatni emeryt, z którym schodzili się codziennie, aby całymi godzinami krytykować bez litości dzisiejsze a wynosić pod niebiosa wczorajsze czasy i pokolenia — dziadzio stał się staruszkciem niemożliwym, sobie i drugim życie zatruwa.

— Naturalnie... Brak zajęcia... Choć głównie kiszki, ja zawsze powtarzam... Wadliwa cyrkulacja. Potrzeba mu koniecznie umiarkowanego ruchu i towarzystwa. Bierzcie go państwo na spacer.

— Kto?...

— Pani... mąż... niech chodzi z dziatwą do ogrodów.

Niepodobna. „Mąż nie ma czasu, ja nie mam cierpliwości, a co do dzieci...“

— To bieda... A gdyby tak zmiana miejsca? Radca czasem wyjeżdża do drugiego z synów?...

Dokola ślicznych ust pani zakwitł uśmiech zakłopotania, nieopisanie piękny, cały poemat. Szepnęła:

— Tak... ale... Już nie był u niego dawno... Zdaje się, że są z sobą trochę... O, cokolwiek tylko... Bardzo mało... Brat męża jest najlepszym z synów. Wolelibyśmy jednak w ogóle dziadzia nie puszczać... W tym wieku taki kawał drogi... a przytem... widzi konsyliarz... przy jego pięknej emeryturze...

— Ach, prawda! zapomniałem... Tak, to zmienia postać rzeczy. Nie można staruszka puszczać... Przeciwnie... należy ze wszystkich sił starać się, aby... Tylko co ja w tym wypadku poradzić mogę?... Hm... Jest!... Mam!...

— Złoty konsyliarzu!

— Wszak dziadzio lubi psy?

— Przepada za niemi.

— Wybornie. Dać dziadziowi pieska.

— Co?... Jaktó?!...

— Dla psiarza to cały świat!...

...Małego, wesołego pieska. On go wyleczy. Będzie z nim chodził na przechadzkę, będzie o niego dbał, przy nim dziadzio zapomni o swych kaprysach, niezadowoleniach, humorach...

— Myśli konsyliarz?

— Zobaczysz pani. Domowe leki cuda czasem robią.

W dwa czy trzy dni zjawił się w domu piesek rzadkiej piękności, którego odrazu podsunięto oczom dziadzi. Lekarz, kierujący intrygą, wykrzy-

knął najbezczelniej na widok ładnego, wesołego zwierzątka:

— A skądżeście państwo wytrzasnęli takie szkaradne psisko?!..

Dziadzio poprawia okularów i wytrzeszcza na mówiącego oczy, jakby usłyszał bluźnierstwo. Dziadzio jest to mały, łysy, zasuszony, czupurny staruszek, któremu trzęsie się głos i wszystkie członki, ale który mimo wszystkich defektów swego wieku, nie chce za żadną cenę zerwać z minami i giestami, jakie u młodych junaków były w modzie przed laty pięćdziesięciu. Jest niezmiernie grzeczny dla dam, twierdząc, że go do tego obowiązuje powodzenie, jakim się u nich cieszył całe życie i posiada jedną ukochaną anegdotę, opiewającą barwnie, jak skarcił temu lat... pewnego pruskiego majora, który w jego obecności ubliżył kobiecie. Anegdotę tę wygłasza gdzieś komuś przynajmniej raz na tydzień, zapalając się, w sposób dramatyczny, co mu zwykle poprawia humor na całą dobę, a czasem na dłużej. Szczątki człowieka.

— Przepraszam — rzecze dziadzio doktorowi dobitnie — to pies rasowy. Rasowa i bardzo ładna sztuka.

— Ale co radca dobrodziej żartuje!... Ordynarny kundys.

I począł w najradykałniejszym duchu przemawiać przeciwko psom w ogóle, a temu w szczególności, na co pani oświadczyła, że i ona także psów nie lubi, ale to będzie piesek dla dzieci.

— Dla dzieci! taki pies?! — obrusza się dziadzio. — Piękna historia! To chcecie go chyba zamęczyć?... Dla dzieci! To lepiej od razu utopić albo oddać oprawcy.

Synowa:

— Tego zrobić nie możemy z psem darowanym... Obrażonoby się!

Więc dlatego pies — taki śliczny pies! — ma pójść na marne?... co go w tym domu niechybnie czeka.

— Z psem trzeba umieć obchodzić się! — konkluduje dziadzio z powagą, nie widząc tajemnych znaków, jakie przesyłają sobie po za sferą jego okularów synowa i lekarz.

— To niech go tato weźmie pod swoją opiekę — rzecze pani.

— Co?... ja?... Hm... Skądże. Ale dobrze. Wezmę. Wezmę, żeby psiaka uchronić od pewnej zagłady. Ale warunek: nikt mi się do niego nie będzie mięszać, nikt a nikt! Pies nie może mieć dwu panów.

Cały dom składa uroczyste przyrzeczenie, że pies dziadzi używać będzie czci półbożka. Pani domu osobiście ma czuwać nad dotrzymaniem przysięgi.

Sprawiono psu śliczną nikłową obrózkę z łańcuszkiem ze stali, nazwano go *bibi* przez powszechne głosowanie i wyprawiono z dziadziem na spacer.

Trzy godziny zrana, trzy godziny popołudniu, zgrabny ratlerek, za którym wszyscy się oglądają, ruchliwy jak żywe srebro, ciekawy jak sroka,

śliczny jak cacko, spędza z radcą w mieście. Dziadzio oprowadza pieska a raczej piesek ciągnie dziadzia po wszystkich ulicach i placach, które nabierają nowego uroku dla staruszka, uroku, jaki mają dla jego psa. Nie mając już na tym świecie żadnych własnych pragnień ni celów, stary człowiek żyje przez te kilka godzin pragnieniami, celami i wzruszeniami zwierzęcia, które dzieli, hamuje i uszlachetnia. A po stalowym łańcuszku niby po drucie maszynki indukcyjnej elektryczność młodości *bibusia*, war jego krwi, przelewać się zdaje w zmartwiałe nerwy i żyły starca, który dzięki towarzyszwowi odzyskuje sen, humor, apetyt i miłość rodziny.

Bibi — sprawca cudu — cieszy się też wdzięcznością całego domu, niby wpływowy protektor.

— Konsyliarzu! żaden przepisany dotąd przez pana proszek ani mikstura nie działały tak zba wiennie, jak ta psina... Jakże mam panu podziękować?!..

I rzucając swemi czarującemi oczyma dwa słodkie spojrzenia wdzięczności — jedno na psa, drugie na lekarza, wyciąga pani doń rączkę.

Lekarz zaś, patrząc głęboko w te oczy cudne, jak dwa jeziora górskie w dzień słoneczny, chwytą w rękę ciepłą, różową, pulchną, nieco wilgotną dłoń kobiety i przygotowuje się do jej ucałowania tak powoli, jak gdyby pragnął, aby ta czynność trwała wieki.

LUDZIE ZASAD.

Wybory!

W powietrzu jest coś podniecającego, jak w salach balowych lub domach gry, coś, co najstateczniejszych ludzi wciąga w wir szalonego tańca dokoła masztu z nagrodą, na który spinają się na wyścigi najteższe zuchy, coś, co obezwładnia słabych zapaśników a rozzuchwala mocnych, odurzający powiew blizkich zwycięstw i klęsk.

Ciało zawiadujące sprawami gazety „Flaga“ drży w ogólnem pobudzeniu nerwów i wyobraźni, zapuszczając badawcze oko w przyszłość, gdy naraz gruchło, że wydawca pisma, z zemsty za to, że partya nie życzy sobie jego kandydatury poselskiej, ponieważ nie był jeszcze dość łysym i bezzębnym na reprezentanta narodu dla tych niedołęgów, czyni podobno kroki w celu sprzedania postępowego organu — zachowawcom.

Komitet nadzoreczy pisma ogarnia panika, albowiem jest on szczerze postępowy i ma kilka szczerze postępowych geszeftów wyborczych na oku. Taki skandal w łonie najczystszej z partyj!.. (Wszystkie partye są — rzecz znana — najczystsze, tak jak każdy skład wódek i likierów jest największy). Nie można tego puścić płazem! Póstanowiono zebrać się w kupę i zdławić, zdusić, zmiażdżyć zdrajcę.



W tym przełomowym momencie baczny na bieg wypadków redaktor naczelny „Flagi“, dziennikarz bystrego oka i wybornego węchu, świadomy wszystkich dreszczów chwili i zezujący ostrożnie w stronę radykałów, powiedział sobie w duchu: „teraz pora!“ I korzystając z zamieszania, w chwili kiedy „ci durnie z komitetu zawiadowczego wezmą się za łeb z tym błaznem wydawcą“, postanowił kilku śmiałemi, epokowemi wystąpieniami ufarbować „Flagę“ na czerwono i wkupiwszy się tym czynem od razu w gorące serca skrajnych żywiołów, proklamować swoją kandydaturę już w barwach szkarłatnych przyszłości!..

Sobota była dniem rozstrzygającym. W dniu tym gazeta miała ostatecznie wyrzec swoje słowo o wyborach: w dniu tym wydawca postanowił rozesłać „Flagę“ jak kobierzec synowskiego hołdu u nóg zachowawców, w dniu tym dwanaście łysych pałek z komitetu zawiadowczego zamierzało raz jeszcze sypnąć na kraj mdłemi pierniczkami umiarkowanych haseł, a żyłasty przedstawiciel skrajnych idei zagrzmieć w stronę mas głosem ruszającego do ataku lwa: „Ja wasz chłopcy!... wasz całą duszą!... tylko mnie w górę dźwignijcie, jak tylko możecie najwyżej!...“

W celu przeprowadzenia swych planów wziął wydawca w piątek rano, w sekrecie, na śniadanko redakcyjnego specjalistę od artykułów hasłowych, który obdarzony w tym kierunku od niebios nadzwyczajnym talentem, sypał tego rodzaju utworami jak z rękawa, jak gdyby każda z od-

środkowych funkcji jego istności posiadała formę gotowego artykułu wstępnego. On to miał w interesie wydawcy wykonać na naczelni miejscu „Flagi“ karkołomną sztukę, zwaną ziołkiem politycznym, i z rwącego się niepowstrzymanie naprzód — zamienić pismo w cofające się w tył raczkiem.

— Ale wiesz pan: coś energicznego!... b. czego!... coby od razu jak grom podziało i masy...

...Wszystkie bowiem nowalie okazały się złudniami — nie ma jak ideały przeszłości!..

Śniadanko było wyborne, artykuł wypadł cudnie i spoczął w biurku autora.

Lecz idącego na obiad schwyciło dwu zacząjonych za węglem panów z „komitetu“, którzy wzięwszy go z obu stron mocno pod rękę, zapresili ze sobą do pierwszorzędnej restauracji.

— Chwila jest historyczna, uważa pan... A że jak świat światem nie było, nie ma i nie będzie nic nad złoty środek — „Flaga“ więc, jako jego wcielenie, musi okazać się godną zajmowanego stanowiska i za jakąbądź cenę porwać za sobą masy...

Ufietowali go tak suto, że w godzinę po doskonałym obiadku palnął i schował do biurka drugi artykuł, lepszy od pierwszego, albowiem pióru w pędzie tworzenia przybywa mocy. Zamykając szufladę z jasnym zadowoleniem twórcy, dumnego z płodów swego ducha, uśmiechnął się przedziwnie i zatarł ręce, pewien, że tegoż dnia wieczorem jeść będzie przepyszną kolacyjkę i na-

o z równą siłą przekonania, jak dwa poprzednie, trzeci jeszcze artykuł, skrajnie radykalny, ten będzie najlepszy.

Nie omylił się.

— Kolego!... Nareszcie nadszedł dzień, w którym wypadnie nam szczerze, po męsku przemówić do mas!... otworzyć oczy czytelnikom „Flama na nowe zorze!...

Wywołany kolacją szefa redakcyi artykuł ducha „nowych zórz“ wypadł świetnie i poruszył z pewnością unoszące się gdzieś za świątami cienie Marxa i Lassala, jeżeli nie przestali oni z tej odległości interesować się sprawami partyi. Wszystkie trzy artykuły, zamknięte przez noc w biurku, jak wrogie wichry w miechu Pola, posłał autor raniutko w sobotę do drukarni i kazał natychmiast składać, aby były w gotowości na zawołanie strony, która mieć będzie szansę zwycięstwa.

Tymczasem reprezentanci trzech ścierających się barw, niezdolni zwalczać zbyt długo ciekawości dowiedzenia się, jak też dzielny rębacz od artykułów hasłowych broni ich spraw, poczęli zjawiać się po kolei, chyłkiem, w drukarni, żądając odbitki artykułu wstępnego do przejrzania.

— Którego?... bo są trzy.

— Artykułu pana Szczerskiego, który zawsze pisuje artykuły na wstęp.

— Pan Szczerski dał dziś do druku trzy artykuły.

— Trzy?!... Zatem odbić wszystkie trzy.

Dawał się słyszeć plusk gąbki, łoskot szczotki równającej czcionki a potem uderzającej w nie przez papier, i odbicia artykułów nr. 1, 2, 3, pachnące mazią, świeże, mokre, lśniące, były gotowe, a za chwilę po trzykrotnem powtórzeniu tej sceny nieobecny ich autor, jako ostatni oszust i zdrajca po trzykroć został przeklęty.

Skoro się zjawił nieco później w drukarni w celu przejrzenia korekt i dowiedział się o tem, co zaszło — zaklął też, ale od ślinki, jowialnie, bez tragizmu, jak doświadczony człeczyna, który na poznawaniu życia zęby zjadł i niczego na tym padole nędz i śmiechu nie bierze zbyt seryo.

— Popsułem sobie opinię na całe dwadzieścia cztery godzin — pomyślał, wykalając z zębów resztki wczorajszych biesiad jednym z tych piór, któremi od lat kilkunastu, jak nikt, porывał masy.

I postanowił do jutra nie pokazywać się w redakcyi. „Bo o cóż właściwie idzie?... O to tylko jedno, aby ktoś z całej tej zgrai nie odniósł przypadkiem nad resztą istotnego zwycięstwa. A o to przecież nie było nigdy i nie ma obawy najmniejszej“.

Równocześnie jednak dybiące na się frakcyje, wzburzone odkryciami, działały dalej. Redaktor rozpuścił współpracowników „aż do dalszego zarządzenia“ i zamknawszy redakcyę, schował klucz. Wydawca uczynił to samo z lokalem, personalem i kluczem od administracyi. A rada zawiaadowcza, nie mając co zamykać ani kogo rozpuszczać, rozpuściła sama siebie, zagroziwszy dru-

karzowi, aby nie ważył się drukować nowego numeru „Flagi“ bez ich wiedzy.

Teraz wszystkie trzy obozy wystosowały do siebie wzajem noty dyplomatyczne, w których jedni drugim udowadniali niezbitcie fałsz, podstęp i zdradę, i rzucali rękawicę bezwarunkowego, żeby tam nie wiedzieć co, od dziś dnia rozbratu. Poczem przycupnąwszy, czekali, każdy pod swym najdokładniejszym adresem, kroków pojednawczych, przygotowując w duchu bardzo twarde warunki, które bieg wskazówek na zegarze nieznacznie ale bez przerwy rozmiękczał. Niedziela obiecywała ziścić oczekiwania.

Ale niejaki „Kuryer“ (nędzne, głupie, rewolwerowe piśmidło, bez partyi i bez filarów, bez barwy i bez zasad, bez prenumeratorów i ogłoszeń, słowem najostatniejsza w świecie szmata) wychodził właśnie — jedyny z pism — w niedzielę. Ów to „Kuryer“ miał czoło — (w niedzielę... i to podczas sumy!) — wrzasnąć na całe miasto sensacyjną wieścią: „„Flaga“ przestaje wychodzić! Prowodury dziennika i partyi pokłóciły się przy podziale kubana, zwymyślali się od ostatnich, potem przyszło do bitki, sprowadzono wóz ratunkowy, interweniowała policya!... Nakoniec sztab partyjny rozleciał się na trzy części, współpracownicy zbiegli na cztery wiatry — i oto nie ma partyi! nie ma „Flagi“! Wczoraj wyszedł ostatni numer.“

Co za nikczemność!

Lecz to przywiodło zwaśnione żywioły do opamiętania. Można się nienawidzić, można so-

bie nie ufać i dwa razy na godzinę życzyć wzajemnie skręcenia karku — ale trzeba się — na miły Bóg! trzymać w kupie, bo życie ciężkie a wrogów moc.

Radykał, wstecznik i umiarkowani zeszli się tego samego wieczora w partyjnej knajpce, przywitali z niejaką rezerwą, rozpoczęli politycznie gawędkę a zajrzawszy w swe oczy i serca — zawsze te same! — tręcili kuflami po bratersku.

— Wszystkiemu winien ten bestya Szczerski ze swoim artykułem... On zupełnie przekreślił myśl moją...

— I moją także!

— I naszą!

— Zresztą ludzie są ludźmi... i najsilniejsze duchy mają chwile wahań... lecz w chwilach takich goić, nie jątrzyć należy.

Gdy się i Szczerski zjawił z uśmiechem na ustach i wyciągniętą prawicą, odwrócili się doń plecyma.

— A wam co się stało? Napisałem wam przecie takie cacane artykułiki...

— Uhm!... cacane!...

— W żądanym duchu!

— W żądanym trzech!!

— Tylu sami chcieliście.

— Mój panie! pan chyba kpisz?!... Aby pisać jednego i tego samego dnia trzy artykuły, każdy odmiennej barwy, na to trzeba nie mieć żadnych zasad!...

— Przeciwnie, na to trzeba mieć wszystkie!
Ja je mam! To wy jesteście bez zasad!... dlatego szukaliście ich u mnie.

Mistrza ogarnął gniew. Odwrócił się i odszedł.
Tamtym wyrwało się z ust tłumione:

— Bezczelny.

Potem pauza. Jedna z tych pauz, które tworzą historię, przygotowując epokowe jej karty.
A potem najdojrzalszy mruknął:

— Słuchajcie-no... Nie można go tak puszczać...
Trzeba, żeby ktoś za nim poszedł... Walczyło się o prawdę tyle lat pod jednym sztandarem...

Wspomnienie sztandaru działało zawsze rozrzewniająco na te hartowne serca.

Wreszcie... po nikczemnej napaści „Kuryera“ potrzeba koniecznie, aby „Flaga“ odpowiedziała czemś silnem, mężkiem, czemś, coby jak piorun zelektryzowało masy... „Któż nam coś podobnego napisze, jeżeli nie Szczerski!...“

Pogoń nie potrzebowała się wysilać. Ścigany znajdował się zaraz w sąsiednim gabinecie. Nie rozbierał się nawet, ani nie kazał sobie podać piwa, wiedząc, że je niebawem u wspólnego stołu pić będzie i na wspólnem wieszadle druhów z pod jednego sztandaru powiesi swe palto.

Trzeba-li dodawać, że nowy, czwarty artykuł, jaki muza Szczerskiego powiła po tej nocy, pełnej pocałunków, piwa i łez — przewyższył trzy poprzednie i że wykazawszy całą nędzę moralną „Kuryera“ i jego kłamstw, przywrócił zachwianą powagę „Fladze“ i tradycyjny wpływ jej na masy?...

OSTATECZNOŚĆ.

— Czy wiesz? — żenię się. Nie wiedziałeś?... Upoważniam cię do udzielenia tej nowiny wszystkim znajomym, nawet takim, których to nie nie obchodzi. Niech całe miasto dowie się jak najprędzej, że się żenię!

— A one?!... A Bobo?!...

— Nie wspominaj mi o tej poczwarze.

— Poczwara?... Ta czuła, słodka, gorąca, szczerą, bezinteresowną, nadzwyczajną Bobo?... Ten zbiór zalet?!...

— Każda ostatnia jest zbiorem zalet, dopóki się nie przekonamy, że była równie jak wszystkie samolubną, wyrachowaną i obłudną.

— Zaczęła cię naciągać?... Odtrącała przecież wszystkie twoje podarki... A może cię po prostu okradła?!...

— To wszystko byłoby niczem. Pomyślałbym: wyzyskuje mnie — ale mnie kocha. Pomyślałbym: złodziejka — ale rozkoszna złodziejka. Nie troszczę się nigdy o etykę kobiety, która ładnie całuje, jeżeli całuje szczerze, jeśli widzę, że mnie pragnie...

— Pragnęła cię przecież!...

— Z całą gwałtownością! Widziałem to w jej oczach, ustach, słowach, listach, czynach,

czułem, że ta dziewczyna za mną szaleje. Kiedy ją odwiedziłem po raz pierwszy, ja tylko byłem zachwycony, ona nie tyle. Ale za drugim razem już, po tygodniu, rzuciła mi się na szyję, jakby nie mogła była doczekać się tej chwili: „Kiedy znów przyjdiesz?“ — „Za tydzień“. — „Ależ nie! Przyjdź jutro, pojutrze, za trzy dni najdalej! Przyjdiesz?...“ Musiałem przyjść. Najpierw za trzy dni, potem za dwa, w końcu codziennie, nawet częściej. Musiałem. Błagała mnie o to. Widziałem, że szaleje za mną, że mnie ubóstwia, więc przychodziłem. Chudłem wprawdzie dyabelnie, ale sprawiało mi to przyjemność. Dziwiłem się trochę. Nie jestem przecie Apollinem. Jeszcze nigdy na żadnej nie udało mi się wywrzeć podobnego wrażenia. Ale każdy natrafia w końcu na swoją... Myślałem, że na swoją natrafił. Tyle miałem dowodów!... Nie było rzeczy, którejby mi odmówiła, nie było takiej, którejby zażądała. Przeciwnie, broniła się usilnie wszelkim objawom mojej wdzięczności. Inny byłby ją wyzyskiwał, ale ja jestem na tym punkcie bardzo skrupulatny. Musiałem z nią o to walki staczać, ale rachunki nasze były zawsze w największym porządku. Żadnych zaległości. I byłbym do dzisiaj, byłbym kto wie jak długo jeszcze chudł w czarujących objęciach Bobo, bo widziałem, że mnie kocha!... „kocha“ — przecież to rozumiesz, — gdyby...

— Gdybyś nie był spostrzegł, że jesteś zdradzany...

— Nie to. Wiedziałem przecie, że nie jestem w tem sercu jedynym, wystarczało mi, że jestem pierwszym.

— A więc?

— Pewnego dnia zastałem jej drzwi zamknięte.

— Po raz pierwszy?

— Po raz pierwszy.

— Nie była w domu.

— Była.

— Miała gości!

— Pozbyła by się ich natychmiast dla mnie.

— Wiedziała, że ty dzwonisz?

— Naturalnie. Dzwoniłem w umówiony sposób.

— Spała!

— Chodząc po pokoju na palcach?... Widziałem to przez dziurkę od klucza.

— Cóż chcesz, kaprys kobiecy.

— Kaprys ten powtórzył się trzykrotnie. Trzy razy dzień po dniu.

— Byłeś w rozpacz?

— Byłem wściekły.

— Zrobiłeś jej awanturę?

— Zażądałem od niej wyjaśnień.

— Zaraz?

— Po tygodniu milczenia.

— Osobiście?

— Pisemnie.

— Nie odpowiedziała?

— Odpowiedziała. Cztery słowa: „Przestałeś przynosić mi szczęście“.

— Nie rozumiem.

— I ja nie zrozumiałem. O! mężczyzna nie potrafi nigdy od razu pojąć tak niskich rzeczy. Ale co gorsza, byłem tyle nierozsądny i począłem szukać informacji.

— Znalazłeś?

— Wyczerpujące. U jej serdecznej przyjaciółki i koleżanki w sztuce.

— Mali?

— Mali.

— Cóż ci powiedziała?

— Rzecz okropną! ohydną!... rzecz, która była podeptaniem najświętszych moich uczuć!... Wiesz, czem ja byłem dla tej milutkiej, czułej, wylanej, bezinteresownej Bobo?... Maskotą. Żywym talizmanem szczęścia. Od dnia, w którym poznaliśmy się, a stało się to w czasie ogromnych jej kłopotów pieniężnych, — zaczęło się jej bajecznie powodzić. Pieniądze sypnęły się po prostu na nią z różnych stron. Jej wypróżnione szafy, kufry i szuflady poczęły się zapełniać na nowo, jak za skinieniem czarodzieja. Zaczęła być licytowaną jak klejnot rzadkiej wartości. Te pannie mają swoje przesady. Ulegając im, Bobo ubrdała sobie, że całe to nagłe powodzenie zawdzięcza mnie; że ja to, moja osoba, mój pocałunek, miłość, przynoszą jej tak wyjątkowe szczęście. Oczywiście, raz w to uwierzywszy, poczęła mnie wysoko cenić, a gdy w dodatku upływające dni, te dni, w których ja chudłem, przysparzając jej — bezwiednie — coraz to nowe sukcesy, utrwały w niej wiarę w cudowne mo-

ce mej osoby, poczęła mnie ubóstwiać i ze wszystkich sił starać się o przykucie mnie do swego rydwanu..

— Dlaczegoż nagle te drzwi zamknięte?

— Powodzenie zaczęło słabnąć.

— Z twojej winy?

— Naturalnie — według logiki przesądu. Człowiek przynosi szczęście — człowiek przynosi pech. Jak ogień wygasnąć — tak Maskota stracić może dar uszczęśliwiania. Zauważywszy, że jej się zaczyna gorzej wieść — najpierw gorzej, potem całkiem źle — poczęła szukać przyczyny. Nie znalazłszy jej nigdzie, upatrzyła ją we mnie, ponieważ już raz osoba moja wydała się jej oczom wyposażoną w tajemnicze siły... Pożyczyła komuś samowar — przepadł. Zapomniała drzwi zamknąć — skradziono jej kołdrę. Zgubiła kolczyk, straciła najburtowniejszych odbiorców i spiekła się w policzek żelazkiem, które ją oszpeciło na dziesięć dni. Do licha... źle!... Trzeba się ratować. Pewnego dnia wymówiła mi się od schadzki — los jej się zaraz uśmiechnął. Nazajutrz zobaczyliśmy się znowu — na niebie jej chmury. Wówczas, zdobywszy pewność, zamknęła przedemną drzwi i naraz, jak gdyby los istotnie na to tylko czekał, odwróciła się znowu na dobre karta, wróciło powodzenie i zapewne kto inny obecnie, mój następcą, odziedziczywszy mój nimb, zasiada na mym złocistym tronie i chudnie... a ja...

— A ty?...

— A ja — koniec końców — śmiejąc się z całej tej historyi, zwracam się do jej najle-

pszej przyjaciółki Mali, by przeniesieniem na nią mych względów, upokorzyć tamtę...

— Doskonale!

— Ba! w zasadzie — ale nie w praktyce.

— A to czemu?

— Przyjaciółka Bobo dała mi kosza.

— Szczególna przyjaciółka. Pomijać taką sposobność... Powinieneś był parsknąć jej w oczy i zwrócić się do innej...

— Do trzeciej. Tak też zrobiłem. By zadrwić z obu, postanowiłem okazać się nadzwyczajnie czułym i hojnym dla ich najzaciętszej rywalki...

— Izy?

— Izy.

— Wybornie!

— Wcale nie wybornie. Iza także dała mi kosza. Nietylko Iza, ale i Wanda, Mimi, Zonia, Pafcia, Dzidzia — wszystkie!... Okrzyczany zostałem w półświatku jako pechowiec i teraz żadna mnie nie chce, wszystkie boją się mnie jak płanetnika.

— Ależ to straszne! Co myślisz robić?

— Mówiłem ci. Postanowiłem się ożenić.

— ...Ha... ostatecznie...

— Właśnie. To ostateczność. Muszę! Serce moje tak jeszcze młode, tak pragnie kochać! Nie mogąc kochać wszystkich, będę kochał jedną. Ożenię się. Pozwalam ci ogłosić to zdumionemu światu. Nie tylko pozwalam — proszę cię! Uczynisz?

— Jakkolwiek usługa jest żałobną — uczynię.

— Słowo?

— Słowo. Zamienię się w atisz, w specjalny numer gazety, poświęcony twemu sensacyjnemu postanowieniu.

— Dziękuję ci i trzymam cię za słowo. Daj pyska. A teraz słuchaj... Dotąd mówiło się o tem, co wie lub wiedzieć będzie świat, a teraz słówko, które zostanie między nami. Mnie się ani śni o żeniaczce...

— Nie?!...

— Rozumie się, że nie. Tobym już wolał powiesić się od razu. Ja nie należę do tych, co sprzeniewierzają się sztandarowi. Ale widzisz, nie mogę przecie błagać o miłosierdzie tych hul-tajek. Po co?... Skoro usłyszą, że się żenię, same przylecą do mnie i łasić mi się będą... Za tydzień będę otoczony niemi jak basza, zobaczysz!...

— Więc taki był twój plan?... Przyjacielu! wybacz!... A ja już byłem w obawie o twe zmysły.

KURCZĘTA.

Baśka płacze.

Kazano jej zarznąć parę kurcząt.

Na stole leży nóż, obok przygotowana ściertka, na podłodze trzepocą się, piszcząc, z powiązanymi łapkami, skazańcy — a ona siedzi na ławce z miną nieopisaną rozpacz, zgryziona, złamana, cała w łzach.

Państwo znają tę jej słabość. Gdy rozmowa o tym przedmiocie przegrodzi dania objadu lub kolacyi, najstarsza córka — już stara panna — załatwia się z tem krótko, oświadczając:

— Komedia.

Najmłodsza, jeszcze podlotek, sądzi:

— Dobre serce.

Pani powiada:

— Naiwność.

Syn medyk:

— Zboczenie umysłowe.

Pan nie mówi. Pan je.

A Baśka cierpi.

Co kilka tygodni powtarza się w kuchni ten dramat pomiędzy cebrem z pomyjami a popielnikiem. Ten sam zawsze dramat nieprzepartego wstrętu przed aktem mord; przed rozlewem krwi ciepłej, żywej, tryskającej z pod noża; przed

śmiertelnym trzepotem łapek i skrzydeł, przed wszystkimi szczegółami tego morderstwa w miniaturze, które mięsożerna natura człowieka czyni niezbędnem. Nigdy inteligentny sędzia, stróż praw, podpisujący wyrok śmierci na zbrodniarza, nigdy pomazany ojciec ludów, wysyłający na zatracenie pułki, nie doznawali takich mąk duszy, jak ta dziewczka, ledwie umiejąca czytać, i to tylko z drukowanego, kiedy jej przyszło zarzącać kurczaka. Musi to jednak czynić, ponieważ jest sługą i obowiązek ten nieznośny na niej właśnie ciąży, ponieważ kurczęta mają być na niedzielę, więc...

Jestto jedyny moment w życiu Baśki, w którym ta dziewczyna atletycznej budowy, ogromna jak tambur-major, czerwona jak burak i godząca się z swą dolą niewolnicy do wszystkiego, jakby sobie nie była w stanie nawet wyobrazić lepszej — buntuje się.

Tak jest! Rozpoczyna się to od łkań bezradnej rozpacz, po których następuje coś w rodzaju poczucia doznawanego gwałtu i bunt... bunt!...

Och!... bunt na bardzo małą skalę. Coś takiego, jak n. p. ognie sztuczne pokojowe. Bunt, o którym nikt nie wie zresztą, że jest buntem. Pierwszym sygnałem tegoż bywa ciskanie po kuchni przedmiotami, nie ulegającymi stłuczeniu, a punktem szczytowym szukanie zaczepki i kłótni z sługą którego z sąsiadów, którąś, jaka się nawinie. Dlaczego z niemi?... Czy dlatego, że one zarzynają drób, nucając wesołe piosnki

i śmiejąc się, a Baśce serce się kraje przy każdej takiej operacyi?...

— Jaguś?!

— Dej mi pokój. Nie mam tera czasu.

— Taaak?... Nie masz czasu?... Ślicznie! Jak ja cię proszę, to nigdy nie masz czasu... ale jak ty mnie, to ja z tobą wszędzie: i do piwnicy, i na strych, i do magli... Teraz już będę wiedzieć, jaka ty jesteś!... Czeka!...

Jeszcze kilka wyrzutów cierpkich i biadań, kilka gwałtownych giestów, kilka trzaśnieć drzwiami i Baśka tak „okropnie zła“, że aż przerażona własną złością, znajduje się w nastroju morderczym, zdolna teraz do wszystkiego!...

Kopnęła konewkę, aż się naczynie potoczyło — szarpnęła kosz z bielizną, aż zatrzeszczały w nim pręty — przysunęła do ściany stół z takim impetem, że białe łuseczki wapna niby śnieg posypały się z muru na podłogę.

Biega po kuchni dużemi krokami, jakby szukała ofiary... Aha!... Kurczęta!... Oho! nie będzie ona z niemi długo się bawić!... Kiedyście wszystkie takie i ja będę taka!

Owija jedno ścierką, porywa nóż w rękę, ściska ptaka kolanami... Chrast!... To samo czyni z drugim, z trzecim... nie ma tam jeszcze jednego? — i po chwili wszystkie trzy leżą na ławce ze zwieszonemi smętnie szyjkami, z których kropla po kropli zcieka w cebrzyk reszta krwi.

Baśka rzuca nóż — oddycha... Kamień jej z serca spadł. Czuje się jakby zbudzoną z przy-

kregu snu. Jest teraz wesoła! szczęśliwa!... gotowa przeproszać Jagusię, konewkę, kosz z białą, całować cały otaczający ją świat!...

Wtem spojrzała ku ławce, ku trzem ptasin zwłokom...

— Mój Boże... takie to było łaskawe... — myśli, czując, lub wyobrażając sobie, że czuje, łzy w oczach.

Lecz trudno! tak być musiało. Inaczej nie skruszałyby do niedzieli.

I żywo, bez bólu już, zabiera się do parzenia i skubania ptaków, w nastroju optymisty, który zachwiany na chwilę ciężką próbą losu w swej wierze w dobroć życia, po przejściu burzy uśmiecha się jak dawniej, szepcząc: przecież ten świat ma swoje piękne strony...

Ho! ho!... a jakie tłuste!... Będzie też to zbierała pochwały!

...W ten sposób zgładziła Baśka niejedną w życiu setkę kur i zgładzi ich jeszcze sporo.

NOC.

Godzinę pierwszą w nocy wybrzękuje cicho młoteczek, uderzając w zardzewiałą sprężynę ściennego zegaru.

Klinowski budzi się. Wyciąga swoją chudą, wyschniętą, kościstą rękę do porcelanowej zapalniczki przy łóżku, pociera zapalkę, zapala świecę i wita zmęczonym wzrokiem to chwiejące się, żółte, z błękitnem wnętrzem widziadło na końcu knota, które mu co noc od lat dwu dotrzymuje towarzystwa w długie godziny bezsenności.

Spogląda na zegar. Może się omylił?... Nie! pierwsza. Pierwsza, jak co noc!... od tyłu, tyłu tygodni, miesięcy!... Bywaj zdrów śnie.

Opuszcza on go zawsze o tej samej godzinie, po krótkiej, lekkiej, niewystarczającej drzemce. Sen... sen!!... bóg... czarodziej... cudotwórca... święty!... Lekarz i pocieszyciel!... słodycz życia!... sen, którego — któż to zrozumie — on tak nie miał, jak ślepi nie mają wzroku, kaleka nogi, szalenciec rozumu...

Klinowski rzuca posepnym wzrokiem na flakon srebrnych perełek chloralowych z pożądlivością pijaka lub morfinisty. A gdyby zażyć?!... Sześć pigułek otoczy jego myśli obłokiem rozkosznej bezpamięci... Zamknie mu oczy, zatuli

uszy, położy na jego biednej głowie jakby troskliwe ręce piastunki... Zwyciężył jednak pokusę. Zna on gorycze tej czary. To pomoc lichwiarza, który nie daje spoczynku, ale pożycza, ukradłszy go nocom następnym.

Przez chwilę wali się na niego rozpacz, ogłusza go, obezwładnia. Potem podnosi się w duszy pięść protestu, śmiesznego protestu słabych przeciw sile, chorych przeciw okrucieństwu choroby. Dlaczego ja jestem chory?... Dlaczego ja?!... właśnie ja?!...

Następuje paraliż rezygnacyi a wreszcie instynktowne, zwierzęce szukanie chwilowej ulgi.

Łóżko w noc bez snu — to narzędzie tortur. Trzeba wstać, chodzić, myśleć, słuchać, patrzeć — ogłuszyć się, otumanić! — odebrać ciału i duszy wszelką zdolność czuwania.

Ubiera szlafrok, pantofle, bierze laskę, opiera ją na kościstych barkach niby nosidła i zakłada na niej ramiona jak na krzyżu. To sprawia mu ulgę, rozszerza klatkę piersiową, uwalnia chore serce od ucisku.

I chodzi.

Cicho jak upiór snuje się wzdłuż pokoju, wpatrując się raz w chwiejący płomyk świecy, to znowu w swój cień na ścianie, w kształcie krzyża.

I myśli.

Myśli od lat dwu zawsze to samo. O swej chorobie. Zna ją jak galernik swój łańcuch, jak turysta zna kraj, o którym naczytał się w Bedekerze, zna ją jak lekarz specjalista. Wbrew zakazowi doktorów zakopał się w książki o choro-

bach serca i zna stan swój nawskróś. Dlaczego by nie miał go poznać? Cóż w świecie więcej obchodzić go może! Rozumie więc wszystko, co się w nim dzieje, co już przeszedł i co go dopiero czeka, wie, jak i kiedy przyjdzie śmierć. Sledzi postępujące ciągle podupadanie całego organizmu, powolny zanik energii, stopniowe wygasanie życia w delikatnej maszynie, której główną sprężynę rdza żre. „Niedomykalność zastawki dwudzielnej“ — słowa te brzmią tak niewinnie, tak przyjemnie niemal... *Insufficiencia*... Jak to się ładnie nazywa!... Ach ci lekarze! psy. Oni na wszystko mają nazwy, na nic lekarstwa. A lada dzień pojawi się — o tu — puchlina i dokończy dzieła. Zresztą już była raz.

Pewnego dnia rok temu rzekł żonie:

— Ciekawa rzecz, czemu mi jeszcze nogi nie puchną?...

Zalała się łzami, ale on był zafrasowany, jak lekarz niepewny postawionej dyagnozy. Bó powinny już były puchnąć.

W dwa tygodnie pokazała się puchlina. Przywołał żonę wieczorem do swego łóżka, nacisnął nogę palcem w okolicy kostki i pokazał jej mały dołek, który został po naciśnięciu:

— Widzisz?...

Potem puchlina szła w górę, zwolna, nieznacznie, że trudno było właściwie orzec, czy postępuje. Ale kiedy dosięgła kolan, pamięć mówiła nagle: cztery miesiące temu była zaledwie wyżej kostek. Czasem stawała na długo w miejscu. Czasem nawet cofała się nieco z zajętych

stanowisk. Wówczas dom cały napełniało wesele, dzieci dostawały ciastek, żona nową suknię, chory rozpromieniony oddawał się szalonej wierze w cud. Wszak lekarze są tylko ludźmi, a książki ich nie mogą być mądrzejsze od nich samych. Rzucił je w kąt. Tu, na swych nogach miał dowód — oglądał je dziesięć razy na dzień — że puchlina ustępuje!... Jakże prędko gasły te zwodnicze uśmiechy słońca, coraz bliższego zachodu.

Chodząc — Klinowski walczy bez przerwy z pokusą. Flakon chloralu wabi go jak szatan. Bronić mu się trzeba z wysiłkiem. Jeszcze nie!.. jeszcze nie teraz!... Może przecież sen da się ubłagać... Jak najpóźniej ukorzyć się przed trucizną!...

Naraz chwytą go ból. Ból?... Całe piekło bólu!... Kiedy pierwszy raz go nawiedził przed laty, myślał, że to już śmierć! — tak atak był straszliwym. W dwa miesiące miał drugi, następne przychodziły coraz częściej, dziś miewał po kilka dziennie — a dzień wolny od „ataku“ był jakby uroczyste święto.

Bólu tego opisać niepodobna. Ni stąd ni zowąd, jakby bez przyczyny, z przepelnionego krwią worka sercowego rozchodzić się zaczyna gorąco, ucisk, które zajmują, rosnąc, wszystkie sąsiednie organa, wciskają się w każdą żyłkę, pochłaniają każdy nerw, szarpiają, rozsadzają i miażdżą krwi naporem piersi, wgryzają się w płuca, biorą w żelazne śruby ramię, tak że cała lewa połowa klatki piersiowej od krtani aż do przepony pło-

nać się zdaje niby jedna ogromna rana, w której tkwią rozżarzone do czerwoności, ostre, krzywe haki.

Klinowski przymyka oczy, wykrzywia twarz, wypręża muszkuły pleców rąk i nóg, jak postrzeleni żołnierze, wije się z bólu i zapiera oddech.

Czuje się jakby rozpiętym na krzyżu, na prawdziwym krzyżu męki, i cierpiącym na świat cały, za wszystkich, którzy w tej chwili krzepią słodyczą snu swe ciało i umysł, życiem znużone. Upiór cierpienia, na nietoperzych skrzydłach przelatujący oceany mroku w pogoni za łupem, musiał w kogoś zatopić swe szpony okrutne, by inni mogli odpoczywać w pokoju, i wpił je w niego. Czemu jednak w niego?...

Potem bardzo powoli, jak odpływ wzburzonego morza, ból słabnie, niknie, i nastaje cisza i błogość nieskończona jak w duszy małego ptaszka, którego spłoszony kot wypuścił z pazurów... Och! jak dobrze... jak słodko i dobrze teraz, kiedy już nie boli...

Idzie cicho do łóżek dzieci, żony, zajrzeć, czy śpią, lękając się, że mógł ich obudzić jękiem... Śpią... Patrzy z zazdrością w białą głębię ich pościeli, w ich oczy uśpione, wolno, miarowo poruszając się pierś, wsłuchuje się w szmer ich oddechu i ocenia jak nikt w świecie boski cud spoczynku, który noc w noc odbudowuje wątłe siły istot po znojach dnia. Jacy oni wstaną jutro rzeźwi! weseli! szczęśliwi!... jacy nieświadomi bogactw swego zdrowia, nie poznawszy jeszcze nędz jego utraty... Niech śpią!... niech śpią!... niech śpią!...

Po raz setny tysiącem noży przeszywa go myśl bolesna, że szczęście ich jest samolubnem... Lecz jestże inne szczęście?...

Klinowski poczyną przechodzić swe życie przeszłe i terażniejsze, ciężkie życie uczciwego urzędnika, obarczonego rodziną — pracą, bez protekcji dobijającego się okruszyn chleba. Gnębia go te rozpamiętywania. Póki był zdrow, bieda go jadła, kiedy się nareszcie dobił stanowiska, gorsza od biedy choroba powala go i druzgoce. Gniew i gorycz owładają nim. Czuje, że na nim popełniono zbrodnię. Kto?... Życie — przyroda — los — widmo jakieś nieosobowe, którego kaprys wskazuje jednego z pośród miliona, mówiąc: ty będziesz cierpiał!...

A potem jeszcze straszliwsza myśl o tem: czy go kochają?... czy im bardzo cięży?... czy spodziewają się jego śmierci i czy jej pragną?...

Nie! nie!... Nie miał odwagi obarczać ich takim podejrzeniem!...

A przecież czuł, że śmierć jego będzie dla nich świtem. Nie pragną jej — lecz kiedy umrze, i tyranią swej choroby przestanie przygniatać dom, a widokiem swej bladej, znekanej twarzy, mrozić radość ich młodości i zdrowia, zrobi im się lżej. Choć będą płakać, ryczeć, ręce łamać z żalu — powoli rozprostują im się karki, wypogodzą czoła, zakwitną jak rośliny wyniesione na słońce...

I robi mu się w duszy na tę myśl tak gorzko, smutno, samotnie, że nie jest w stanie zdusić płaczu, ściskającego krtań...

Coś bije!... Druga?... Może trzecia?!...

Nie... To dopiero wpół do drugiej... Do świtu, który go zwykł obalać — pięć długich godzin!... całe wieki!... A oni śpią tak głęboko, smacznie, zupełnie jak w czarodziejskiej bajce po wypiciu zaklętego napoju z złotego kubka wróżki. Jakże nędznem jest życie, kiedy w kilku minutach skupienia przebież można wszystkie jego drogi i kąty, przeboleć morze niezakosztowanych rozkoszy i przekląć drugie — doznanych nędz i wrócić z tej wędrówki z odrobiną pyłu, z kłaczkiem pajęczyn w palcach...

Mijają dalej minuty, długie, nielitościwe, aż naraz powieki zaczynają mu ciężyc, nogi się uginają, myśl gaśnie. Cicho... ukradkiem... podchodzi do łóżka, zdmuchnął świecę i składa zmęczone ciało na pościel...

...Ranek. Świat prawie czarny jeszcze, szarzej powoli i nieznacznie, rysuje się, rzeźbi, jakby powstawał w oczach.

Matka budzi się pierwsza i ledwie przetarłszy powieki, pierwsze spojrzenie rzuca z niepokojem na łóżko męża, na jego chudą szyję, szarpaną uderzeniami pulsu. Śpi?... Śpi.

Wstała cicho, z tysiącem ostrożności, aby dzieci pobudzić, z palcem na ustach. W ten sposób, za jej przykładem, zachowuje się cały dom. Najdrobniejsze z malców, ślepo naśladowując matkę, stąpają na palcach i z lękiem obchodzą posłanie, na którym „tata śpi“.

Tak dla nich poczyna się dzień.

W MAJU.

Siedzieli oboje jakby w zachwyceniu. Wąchali jedną gałązkę bzu, ściskali się za ręce i patrzyli sobie w oczy, w duże, ciemne, tajemnicze, pełne radosnych i słodkich obietnic oczy zakochanych o wieczornej godzinie.

Patrzyli także w księżyc, z którego spływała na ogród czarodziejska poezya majowej nocy. Czekali na pierwsze odezwanie się słowika, szepcząc rozkoszne rzeczy o swych blizkich zaślubinach i czując skrzydła u ramion a wielką jasność w duszy na myśl o swoim przyszłym szczęściu.

Mówili także chwilami o rzeczach natury praktycznej, jako ludzie dojrzali, jako dwaj towarzysze broni odwiecznych bojów życia, jako przyszli: żona i mąż. Z po za pary gruchających dzieci, z po za rozmarzonych kochanków, wyzierali już trzeźwi założyciele gniazda.

— Słyszałeś o awansie Wińskiego?

Skrzywił się mimowoli na dźwięk nazwiska.

— Obiło mi się o uszy.

— Będzie podobno świetnie stał. Mówią o siedmiu tysiącach...

— Ale jak do nich doszedł...

Przez chwilę pasował się z słowem, cisnącem mu się na usta, aż uległ.

— ...To szubrawiec.

Szeptem, cichym jak myśl prawie, odrzekła zwolna:

— Ha... Któż dzisiaj ma pieniądze, jeżeli nie tacy...

„Pieniądze...”

Jakim ona to tonem powiedziała...

„Któż dzisiaj ma...”

Dreszcz go przeszedł. Zapewne chłód nocy. A potem nagłe uniesienie, nagły opór myśli, jakby na widok wzbierającej fali brudu. A potem szyderstwo.

Tak!... tylko oni je mają!... Szubrawcy!...

Ale czyż tylko pieniądze?... Wszystko posiadają szubrawcy. Oni są zwycięzcami, panami placu, jak był nim zawsze opryszek. Kto nie przebiera w środkach — ma wszystkie w rękę; przy nim szanse zwycięstwa.

Dlatego warto być szubrawcem — powinno się być szubrawcem — musi się być szubrawcem!..

Ha! ha! ha!... Dziękuję ci drogi ojcze, żeś był szubrawcem!... Pamiętaj luby synu być szubrawcem!...

Szubrawcy są pociechą rodziców, przywódcami mas, filarami przedsięwzięć, słońcami wieków, rozkoszą i dumą przyjaciół, żon i kochanek — oni! których dłonie pełne są złota, którzy mają sławę, bo nie mają czoła, którzy są szanowani, bo są niebezpieczni, którzy sami jedni dochodzą do tego wszystkiego, o czem innym zaledwie wolno śnić, ponieważ na wszystko się ważą... Niech żyją szubrawcy!...

Mówił tak bez odetchnienia, sypiąc jednocześnie papierowe kwiaty szyderczych hołdów na bałwana i plując mu w twarz.

„Któż dzisiaj ma pieniądze, jeżeli nie tacy“ — słowa te niespodziane, przerażające, smagały go jak bicze.

Pieniądze...

Pieniądze!!...

A może one są i jej bożyszczem?...

Strach go ogarnął. Dziki zamęt wzburzył na tę myśl całą treść jego duszy, całą słodką, niebiańską harmonię serca uanielonego miłością.

Ale nie!... nie!!... Ona jest czystą, dobrą, prostą... Ona potrafi zrozumieć, czem są właściwie te świecące krążki i kolorowe świstki, które stanowią dostatek jednych, nędzę drugich... Ona sama nie wie, co mówi... Powtarza jak dziecko zasłyszany frazes... Ona jest wcieleniem ideału!... A jeżeli nie jest — będzie nim.

— Miłość moja ją urobi!

Ona zaś myśli, zdziwiona:

— Jakiż on sentymentalny!... Czyżby naprawdę nie dostrzegał, co jest podstawą bytu i szczęścia?... Byłżeby tak zaślepiony, czy tak... naiwny?...

Nie!... nie!!... On jest tylko bardzo zakochany. Noc taka piękna... bzy pachną tak cudnie... usta jej tak są namiętne... Cóż dziwnego, że chłopiec marzy...

Lecz życie go zbudzi...

— Życie go urobi!... ja go urobię.

OSTATNIE SŁOWA.

Umierał wieszcz, gieniusz, arcykapłan... Umierała chluba narodu, głowa stronnictwa, umierał doskonały syn ojczyzny, wódz pokoleń... Umierał Iks!...

W redakcyi pisma, które szczyciło się Nim od lat dwudziestu pięciu, zebrali się przedniejsi z partyi i oczekiwali w żałobie tej chwili nieuniknionej, kiedy im sztafety, biegające nieustannie od biura do mieszkania Umierającego, przyniosą wieść grobową. Czarna chorągiew do wywieszenia z okna, wytrzepana dziś rano z strychowego kurzu, czekała w pogotowiu, aby obwieścić światu zgon nad zgony. Nekrolog był już dawno napisany, przejrany, poprawiony i aprobowany przez mężów naczelnych. Ból, który miał ich dopiero spotkać, oni już przecierpieli dawno i dawno stracie, jeszcze nieponiesionej, poddali głowę. Wszystko przewidziano lub przeczuto — jedna tylko rzecz była dla nich tajemnicą: Jego ostatnie słowa... Ostatnie słowa Wieszcza!... Testament tej duszy wyjątkowej...

Niestety mało mówił lub tylko rzeczy, pozbawione szerszego interesu. Choroba skrępowiała skrzydła temu orlemu duchowi. Lżył lekarzy, kłócił się z żoną, strofował córki, służbę — ska-

piąc jej słów — obrzucał przedmiotami twarde-
mi... Zwyczajnie chory, kłębek nerwów, istota
zmysłowa, śmiertelna, pragnąca jeść, pić, bawić
się, używać a nie umierać i to tak marnie, z po-
wodu jakiejś tam marynaty na jakimś obchodo-
wym objedzie. Słowa, wyczekiwanego z upragnie-
niem przez naród, przez ludzkość, słowa do mi-
lionów — nie wyrzekał...

A przecież wyrzec je musi. Żaden wielki
człowiek nie zszedł z tego świata, nie rzuciwszy
mu go na odchodnym, jak wielki pan rzuca na-
piwek lokajowi, otwierającemu drzwi karety.
Ostatnie słowa gieniuszów są jak ostatni błysk
gasnącego płomienia, zjawiskiem opartem na
prawach natury, zjawiskiem normalnem.

... Słysząc kroki na schodach... wycieranie
nóg w słomiankę... drzwi się otwierają... wpada
sztafeta!...

Stało się.

— Wincenty!.. Wywieście z okna czarną
chorągiew.

...A przecież chwila ta była wstrząsającą...

Lecz ludziom stojącym na straży ogółu nie
wolno poddawać się indywidualnej boleści.

— Byłeś pan przy zgonie?...

— Byłem.

— Do ostatniej chwili?

— Tak.

— I cóż?... Co powiedział?

— Co powiedział... Hm... Nie wiem, czy mi
powtarzać wolno...

— Co?!... Czy wolno?!... Słowa Jego?!...
Ostatnie Jego słowa?!... Mówże pan...

— Kiedy bo...

— No mów, mów!...

Powiedział do ucha najbliższemu, który skrzywił się nieznacznie. Inni zaczęli podsuwać mu pod nos uszy kolejką, jak piskłeta dzióbki karmiącej je matce, a on powtarzał szeptem każdemu.

Zapanowało milczenie i zaduma. Zawód wyrazem niesmaku i próżni odmalował się w obliczach, jakby w obliczach spadkobierców, co zamknawszy z czułością oczy drogiego nieboszczyka, zajrzeli do kasy i nie w niej nie znaleźli.

Naraz ktoś wyrzekł z mocą:

— A jednak narodowi należą się Jego ostatnie słowa!... Naród czeka na nie!... spodziewa się... potrzebuje ich!... i powinien je usłyszeć!...

— Cóż, kiedy ich nie mamy...

— Dlatego, że ich nie wyrzekł?... To nie racya. Czyż takie słowa muszą koniecznie być wypowiedziane?... Czyż takie słowa dadzą się tylko uszyrna wysłuchać?... Duszami naszymi powinniśmy je pochwycić z szelestu skrzydeł ulatującego ducha wielkiego męża... my, jego blizy... jego zaufani, jego najwierniejsi... Objawienie powinno nam ostatnie jego słowa podyktować, choćby ich nie wyrzekł usty... Czyż my nie powinniśmy tych słów odgadnąć?... Czy wolno nam tego zaniedbać?... Czy jest ktoś bardziej od nas zdolny do tego i powołany?!...

Ależ tak! tak! po tysiąc razy tak!... Idzie tylko o to, jak mają brzmieć te słowa.

Iks był wieszczem osobliwego gatunku. Nie pisał wierszy, nie pisał prozy, nie wygłaszał z szczytu trybun długich oracyj, przemawiał tylko przy okazjach uczt doniosłych, ale przemawiał między dwoma wzniesieniami puharu tak cudnie, że lotne jego słowo, niby słowo Sokrata, choć nie utrwalone własną twórcy ręką, szło w świat, trafiało do serc i budziło zachwyty samem nawet swem echem.

Zaczęto więc teraz myśleć, szukać w pamięci, przypominać sobie szlagworty, *bon mot'y*, aforyzmy i przysłowia zgasłego, szukano skrętnie we wszystkim, co kiedykolwiek wygłosił, jakiegoś zdania, któreby jak: *hic-haec-hoc* Jowialskiego-syna streszczało całe to wielkie życie i postać tę niepospolitą...

Powstał spór, każdy bowiem poddawał coś innego, reszta kwestyonowała autentyczność cytatu i w głosowaniu nad wyborem każdy projekt zdobywał jeden tylko głos: samego projektodawcy.

— Nie, nie, słuchajcie, za mali jesteśmy do odgadnięcia myśli wielkiego człowieka... Tu trzeba czegoś olbrzymiego! godnego stanąć w rzędzie słów historycznych!...

— Ja mam u siebie w szafie książeczkę z złotymi myślami znakomitych ludzi...

— Dawać ją tu!

W kilka minut książeczka znalazła się przed oczyma obradujących, którzy zawarte w niej skarby ducha olbrzymów przetrząsać poczęli bez skrupułu. Sprawiedliwem było, aby wielu nie-

boszczycy, którzy zdążyli wyrzec przed zgonem ostatnie słowo, poratowali kolegę, co tego uczynić nie zdążył. Z terna aforyzmów: na cześć światła — na cześć pracy — i na cześć miłości — losem zakwalifikowano do użytku potomnych zdanie:

„Życ — to kochać!“

jako ostatnie słowa wielkiego zmarłego.

Oprawione w odpowiednie ramki przyczepiono zaraz do nekrologu niby łątkę na dziurawe spodnie i oddawszy pod prasę, w niezliczonych odbiciach rozrzucono po świecie.

A naród krzepił się tem słowem. Spożywając chleb powszedni, zakrapiając go piwkiem, bawiąc się ploteczkami, kłócąc się, umizgając, obmawiając i blagując, ludziska powtarzali z wywróconemi zachwytem białkami oczu:

„Życ — to kochać!“

Jeden tylko Wincenty, woźny redakcyjny, przesyłabizowawszy ten ustęp nekrologu, jako zwolennik prawdy czystej, nie znający się na pożytkach prawdy, stosowanej do przemysłu, splunął i mruknął z gniewem:

— No, nie cholery to — jak łą?... Powiedział przecie: „Żeby was wszystkich pierony za tę marynatę, którąście mnie otruli!“ — Sam byłem przytem.

Za mały jednak do walki, nie ogłosił żadnego *dementi*.

I duch nieodżałowanego Iksa płynie przez wieki, z słowami:

„Życ — to kochać!“

ODWIDZINY.

Dorożka zawsze robiła na przedmieściu sensację. Zjawisko to za roгатką, w odległej dzielnicy, znaczyć mogło tylko chorobę, występki lub śmierć; jechał nią lekarz, policyant lub ksiądz.

To też kiedy na twardej podłodze gościńca zagrzemiał turkot pojazdu, Magdalena Wziątkowa, żona powroźnika (jednego z tych powroźników, co więcej wypiją piwa, niż sznurów ukreca) — odwróciła głowę od studni publicznej na środku ulicy i roztrzepując w ręce sztukę mokrej bielizny, którą wykrecała właśnie, spojrzała ciekawie z pod dłoni na jadących, aby zasłonić od słońca swoje duże, błyszczące, piękne oczy, patrzące jasno i mocno z czerwonej i zdrowej twarzy. Ale jeszcze prędzej zwróciła je w dół, w głąb koryta, pełnego mokrych szmat, w których zaczęła przewracać. Dopiero kiedy brzęk stalowych resorów i żwawy, równy tętent kopyt mimo przeleciał, spojrzała z podełba za błyszczącym do słońca, lakierowanym pudłem fiakra, za czerwonymi kołami, omgłonymi białym obłokiem pyłu, ponad którym jaśniały siedzące w pojeździe osoby, w jasnych, modnych, eleganckich strojach, świecący cylinder mężczyzny i jego wykrecone wąsy, kwiecisty kapeluszek kobiety, koronkowa pa-

solka i czyste, różowe, strojne główki dzieci, fiaker, znający słabostki ludzkie, z fantazją urzaskał z bicza, dodając wjazdowi efektu pańskości.

Usta powroźniczyny drgnęły nerwowo. W skórze twarzy wcięły się lekkimi rysami skurcze zazdrości, a gładkie, pogodne czoło zmarszczył gniew.

Poznała ich. To ona!... Ta urzędniczka, ta wielka pani, co złapawszy sobie na męża pana w rękawiczkach, zapomniała, że była tylko stolarzówną z przedmieścia i przestała poznawać przyjaciółki, z którymi niedawno jeszcze bosobiegała po ulicy, bo one nie chodzą w kapeluszach, bo ich mężowie golą się tylko raz na tydzień i kręcą sznury lub konie kują. Gorycz upokorzonej dumy ścisnęła serce babiny, rzucając je na pastwę uczuciu, że jest tak małą, lichą, nędzną w swoich dziurawych patynkach i perkalowej spódnicy wobec tych wszystkich, co mogą się powozami rozbijać.

...A co na niej jest więcej lepszego, niż te szmaty, na które przecież nie zapracowała, tylko jej mąż, a i ten, kto wie jak, bo te urzędniki... Tymczasem jak to dmie!... Jadą jak hrabiowie!... Powozem we dwa konie, jeden by nie wystarczył. A po przedmieściu to się będzie szastać przez te dwa dni, na które przyjeżdżają do rodziców, coraz to w innych sukniach, kapeluszach, rękawiczkach: to jasno, to ciemno, to szaro, to kolorowo. „Patrzcie, co my za państwo!... jak my pachniemy, jak się świecimy od złota“. Tfu!... hołota jedna z przewróconemi głowami.

— A kto to przejechał z takim trzaskiem, pani Wziątkowa? — pyta z progę swej chałupy półciemna a niezmiernie ciekawa sąsiadka, której powroźniczyna służy za oczy.

— Czy ja tam wiem... Pełny ceber szmat przedemną, mam to czas patrzeć?...

— Mój Boże! Ci co mogą, nie patrzą — nie ciekawi świata Bożego. Żebym to ja wasze oczy miała!... Pewnie córka stolarzów przyjechała z mężem odwiedzić rodziców. Nie było ich ze dwa lata... Czy zawsze takie państwo?...

*

„Państwo“ tymczasem przyjeżdżało peryodycznie do rodziców, kiedy potrzeba było na gwałt pieniędzy. Urzędnik wyrabiał sobie bilet wolnej jazdy koleją, kupowało się jakieś tanie gościeńce dla teściów, przywdziewało się co najlepsze suknie, napakowywało się resztę do kufra i zabrawszy dzieci, przez całe dwa dni napawało się stolarza i stolarzową szczęściem i dumą na widok parady, jaką zięć i córka roztaczali po uliczkach przedmieścia — na myśl o wysokościach, na jakie rodzina wznieść się zdołała przez świetne zamążpójście Teresi.

U stolarzów zabijano na tę uroczystość cielę, którego poszczególne części przez całe dwa dni ukazywały się na obiady i kolacye w coraz to innej formie. Czeladź miała złote czasy, spożywając w obfitości poszczególne organa cielęciny, ale młodym państwu obrzydzało to cielęciny na kilka miesięcy... Byli bowiem zmuszeni jeść du-

zo, by poić radością gościnne serca rodziców. Wnuki — dwu małych urwiszów i jedną płakliwą dziewczynkę — ojciec wymusztrował porządnie przed przybyciem do dziadków, nakazawszy im surowo, z trześcią w ręce, zachowywać się anielsko, nie bić się, nie grymasić, nic nie ruszać, o nic nie prosić, a całować często po rękach dziadzia i babcię, którzy bardzo lubią małe dzieci a „ponieważ ich nie mają, więc się wami zechęą nacieszyć“.

Bębny patrzyły nieufnie na tych dwoje starych, rubasznych, prawie obcych sobie ludzi, których widziały zaledwie dwa czy trzy razy w życiu Dziadka było czuć piwem, a babkę tabaką. Prócz tego mieli oboje takie czarne, grube, twarde ręce, że całowanie ich było czystą pańszczyzną. A tu ni stąd ni zowąd kazano im ich przez dwa dni kochać.

Kiedy już trzy ćwierci cielecia zjednoczonemi siłami całego domu spożyto, kiedy zięć olśnił teścia gruntownie opowiadaniem o swoich świętnych widokach na najbliższą przyszłość w karierze urzędniczej, a babka upoiła się trojgiem białych, pańskich, delikatnych wnucząt, które były jej wnuczętami, dziećmi jej córki Teresi! — (kto ma takie na całym przedmieściu?!... na całym świecie!!...) kiedy oboje starzy przewietrzyli kilkakrotnie od paru miesięcy nieruszaną z szafy najodświętniejszą odzież, ukazawszy się w niej z młodą parą u boku raz w kościele, raz na ogrodowym koncercie, a raz nawet w teatrze — ; natenczas zięć brał w sposobnej chwili na bok

rozpromienionego teścia i w słodkiej przyprawie serdecznych uścisków dawał mu do przełknięcia pytanie: czy nie ma tam gdzie odłożonych jakich dwu albo trzech — lepiej trzech — niepotrzebnych stówecek? „Bo u nas w danej chwili strasznie krucho... Wyszastaliśmy się na to, na owo... urządziło się dla szefostwa parę wieczorków... i jak tata nie poratuje...!“

Poratował! poratował!... Był na to zawsze przygotowany, aby ratować takiego paradnego zięcia, który mu córkę z zaśmieczonego wiórami mieszkania wyawansował na panią w rękawiczkach, jeżdżącą powozami i nie dającą się wcale odróżnić od tych dam, jakim stolarz w mieście ustępował z chodnika, uważając je za istoty z innego, doskonalszego świata.

Raz jeszcze ciepło rodzinne buchało potężnym płomieniem, kiedy mąż Teresi wsuwał do kieszeni dobrze przez starego nabity pulares. Przy reszcie zwłok cielecych, oblewając je trunkami suto, spędzano jeden entuzyastyczny wieczór, a nazajutrz rano, skoro świt, młodzi państwo, obładowani koszami i zawiniątkami, pełnymi grzybów, sera, masła, konfitur, ruszali w drogę z beczącymi dziećmi, które zbudzono niezwykle wcześniej — ścigani pełnymi łez oczyma stolarza i jego małżonki.

*

Jednego roku powroźniczka, jeszcze otylsza i czerwiejsza niż dawniej, zresztą zawsze ta sama dzielna babina z przedmieścia, co to ma serce jak masło, a rękę jak cep, stała właśnie przed

swym domem zadumana, patrząc, jak deszcz chlupocze, i myśląc, w którym też szynku mąż pije w tej chwili — gdy wtem zobaczyła jadący od rogatki, środkiem olbrzymich warstw błota, wózek, ordynarną żydowską dryndę o jednej, ślepej, dogorywającej szkapie, która z śmiertelnym wysiłkiem wlokła wehikuł pod razami bicia.

Spojrzała — i oczy jej błysnęły, a wyprostowała się jak młoda dziewczka, gdy posłyszysz muzykę i przytupywanie tancerzy.

— Aha! — pomyślała, uśmiechając się z dziwnym tryumfem — jedzie! jedzie!... Ale już nie w dwukonnym flakrze jak hrabina, tylko w żydowskim wózku!...

I miała ochotę zawołać na całe gardło, bo wiedziała już od wczoraj wszystko:

— Sąsiadko!!!... Pani Palusińska!... A chodźno pani tu! wiesz pani, kto przyjechał?... To ta wielka pani! stolarzówna! co nam tu perfumami pod nos kadziła za stolarzowe pieniądze, co z nami nie chciała gadać, bo my mamy czerwone ręce od roboty, a ona białe od próżnowania; bo nasze chłopcy grają w kregle o parę szóstek i piją żytniówkę, a jej mąż przepijał na wino i w karty przegrywał stówkami, aż musiał zmykać gdzie pieprz rośnie!... A teraz ona z pięciorgiem dzieci ledwie z duszą uciekła przed długami i wraca powozem, o ślepej szkapie, do rodziców... Gawlikowa! Zerdzikowska! Chodźcież tu kumy, warto popatrzeć...

Wołała to w myśli tylko, bo żadnej z sąsiadek nie było pod ręką.

Naraz wózek zatrzymał się, żyd powstał w nim i dała się słyszeć kłótnia. Ugodził się tylko do rogatki, nie pojedzie dalej ani na krok, jeżeli nie otrzyma zapłaty, groził policyntem. Jego zapluty szwargot głośzył zupełnie płaczliwe przekładania kobiety.

Powroźniczyna wahała się przez chwilę — ale tylko przez chwilę. Sięgnawszy do kieszeni po węzełek, podkasala spódnicę i środkiem błota szła ratować „hrabinę“.

ZBRODNIA.

W chwili kiedy naczelnik sądu, uśmiechając się pobłażliwie z odczytanych co dopiero gazetarskich bredni, oddawał się powoli słodkiej pie-szczocie poobiedniej drzemki w cieniu rozłożystej gruszy na brzozowej ławeczce — furka ogrodowa rozwarła się z trzaskiem a z za jej progu wpadło, niby trzy wyrzucone z eksplodującego granatu pociski, trzech ludzi. Nasamprzód dwu, z których jeden, blady jak śmierć, iść nie chciał, lecz go drugi, jak indyk czerwony, ze wszystkich sił do tego przyniewalał, a za nimi miasteczkowy policyant, wesał o strasznej minie lecz łagodnego, szczególnie w obec lubiących częstować, temperamentu.

— Panie komisarzu!... panie sędzio!... panie prokuratorze!... — wrzeszczał na całe gardło, szybko, jednym tchem człek o czerwonej twarzy i czarnych, krętych włosach, z srebrnym kolczykiem w uchu i w mocno rudej aksamitnej kurtce na grzbiecie.

— Na pomoc! na pomoc!... przyprowadziłem łotra... Marco Gualma... mój parobek... Chciał uciec, ledwie go schwyciłem... Oto jest!... Niech go straż weźmie... niech go skują!... zamkną!... Bił się ze mną!... Ukąsił mnie w rękę... Chciał

mi odgryźć palec... na szczęście wybiłem mu w sam czas jeszcze dwa zęby... Proszę go zamknąć!... To łotr nad łotry!.. Nazywa się Marco Gualma, służy u mnie... Powinien wisieć... Tak jest!... Śmierć za śmierć! Robił mi szkodę i okradał mnie oddawna... Popsuł mi na złość wóz... Potem mi popsuł, co gorsza, katarynkę, na której grał jak skończone bydlę, nie mające za grosz pojęcia o muzyce... Co to jeszcze?... Aha!... Sprzedał mi pokryjomu papugę... zełgał, że uciekła... A teraz.. teraz!... Zabił... Panie sędzio! czy pan słyszy?... To morderca!... Złapałem go na gorącym uczynku... Czyż nie widzicie krwi na jego rękach?... Zabił mi... Będziesz wisiał łotrze! musisz wisieć!...

— Ale mówcież raz, kogo zabił?

— Zabił mi moją małpę!

Mówiący otarł pot z czoła wolną ręką, śledząc wrażenie skargi. Ofiara, którą za kark dzierzył, rzucała dokoła wzrokiem lisa, szukającego dziury do ucieczki.

Sędzia uśmiechnął się.

Na ten widok oskarżyciel coprędzej pospieszył ponownie głos zabrać...

Należy jednak zaznaczyć, że człowiek ten, o ile mówił płynnie i wymownie, o tyle wcale nie przystępnie. Bartolomeo Bombi, właściciel wędrowniej panoramy z loteryą, muzyką, kobietą bez nóg i cyrkiem tresowanych peheł, posługiwał się w występach swych tekstem, nasuwającym myśl o pomieszaniu języków u wieży Babel. Był to bigos pół tuzina języków środkowo-euro-

pejskich, poprzekręcanych najfantastyczniej i mocno podlanych sosem prowincjonalnej włoszczyzny. To też sędzia z trudnością tylko wtajemniczał się w szczegóły dramatu, które mu podawano w sześciu językach naraz a właściwie w żadnym.

Policyant, przestępujący ciągle z nogi na nogę, w niecierpliwej chęćce złożenia służbowego raportu, wniósł się:

— Proszę pana naczelnika to tak było...

Ale dyrektor cyrku pcheł z włoską popędlivością gościów odtrącił go, nie dając mu przyjść do słowa, czując w sobie dosyć energii do załatwienia bez niczyjej pomocy własnych interesów.

— Nie wtrącajcie się... Pilnujcie lepiej tego łotra... — zawołał. A potem do sędzi:

— Panie prokuratorze... Pan prokurator się uśmiecha... Pan prokurator myśli, że małpa, że moja małpa to jest byle co, nie warte tego hałasu... Pan sędzia musiał chyba nigdy nie widzieć mojej małpy?... Nie?!... To co innego. Trzeba ją było zobaczyć... To jest... to była — tutaj uronił parę łez, zgrzytnął zębami i pogroził pięścią mordercy. — To była gienialna małpa!... Mądrzejsza od niejednego człowieka. Taka małpa jedna się rodzi na sto lat a i z tych nie każda się dostanie w takie ręce, co ją należycie wykształcić potrafią... To była perła! Ja właściwie żyłem z tej małpy... Ja byłem przez nią sławny. Ludzie otwierali gęby ze zdumienia na widok jej sztuk, zapominając klaskać... Co mnie już nie dawano za tę małpę... A jabym jej nie

był oddał za żadne skarby świata... Szkoda!... wielka szkoda, że pan sędzia nie widział mojej małpy... Niech pan sędzia zapyta tych, co ją widzieli...

Sędzię, obserwującego winowajcę, którego mi na zgębiona zdawała się przyznawać wielkość zbrodni, spełnionej przez zabicie tak niepospolitej małpy, — poczyniała zajmować ta awantura.

— Czy to wszystko prawda? — zapytał policyanta.

— Niby prawda, proszę pana naczelnika. Co do małpy, to tam trochę dodane — ale za to...

— Co dodane?!... Gdzie dodane?!... Nie gadajcie no głupstw!... Wy się znacie? czy co?... Wy tylko patrzycie, gdzie kto idzie na wódkę, żeby się do niego przyczepić...

Nie podobna spisać potoku słów tej włoskiej gęby, wygimnastykowanej znakomicie w napuszonych przemowach do jarmarcznej publiki, a obrabiającej teraz naprzemian złoczyńcę i policyanta, najczęściej jednak powracającej do małpy. Policyant, mąż czynu nie słów, daremnie próbował zmieścić w krótkich pauzach oddechowych nieskończonej tyrady bodaj jeden swój wyraz. Lecz w końcu powiodło mu się wypowiedzieć:

— Najlepiej by było, żeby pan naczelnik sam się pofatygował i zobaczył...

Na te słowa winowajca zbladł jeszcze bardziej a Bartolomeo zawęłał tryumfująco:

— Dobrze!... Bardzo dobrze!... Niczego innego nie chciałem jak tylko, żeby pan sędzia przekonał się naocznie.

Winnego, któremu na rozstaniu plunął Bartolomeo pod nogi i klnąc zapowiedział: „Nie daruję ci małpy! Musisz wisieć!...” zostawiono po drodze w aresztach, poczem sędzia, Włoch i policyant udali się gremialnie do „Największej panoramy na świecie“, mieszczącej się na przestrzeni kilkunastu sążni kwadratowych na rynku miasteczka, vis-à-vis propinacyi. U wejścia do płóciennej budy znajdowała się kupka gapiów, która z własnego natchnienia utworzyła szpaler na widok reprezentantów władzy i właściciela przybytku, nie przestającego przez całą drogę apoteozować małpy i jątrzyć sędziego przeciwko jej mordercy.

— Proszę pana sędziego to tu... w tym kącie... — wskazał, gdy weszli do wnętrza.

Sędzia zbliżył się, spojrział, i cofnął ze zgrozą.

— A to co?!... — wykrzyknął.

— E, to nic... To moja żona.

Na ziemi, obok zabitej małpy, leżał w kałuży krwi trup kobiety.

— Ja właśnie chciałem panu naczelnikowi od początku powiedzieć — wtrącił policyant.

Ale Bombi natychmiast:

— Cicho bądźcie! Was tu się nikt o nic nie pyta. Ja panu sędziem opowiem sam wszystko, chociaż to rzecz poboczna... Mnie o to wcale nie idzie. Ale opowiem dla dokładności. Oni z sobą żyli jak pies z kotem...

— Kto?

— Ten łotr Marco i moja żona. Jak pies z kotem!... chociaż była jego kochanką...

— Tak?!...

— Tak jest. Ale ja się na to wcale nie skarzę. Mówię tylko dla dokładności. Otóż kłócili się dziś od samego rana. Potem on poszedł pić. Po objedzie, kiedy się trochę położył, znowu zwa-
da. On jej wyrzucał jakiegoś kamieniarza, ona się śmiała. Wrzeszczał umyślnie na całe gardło, żebym ja słyszał. Nie chciało mu się samemu fatygować, chciał, żebym ja ją wyłomotał. A mnie co do waszych spraw?!... Naucz ją sam rozumu, kiedy cię zdradza.

— Ależ, słuchajcie-no, przedewszystkiem przecie was zdradzała?...

— E, to co innego. Ja jestem mąż. Ja już się z tem oswoiłem. To za karę, żem był taki głupi i żem się z nią ożenił. Ale dla niego to była nowość. Zdradziła go pierwszy raz, więc był wściekły. Ja także byłem wściekły za pierwszym razem. Byłbym ja jej wtenczas dał, gdyby nie była uciekła. Trzy dni jej nie było w budzie. Stara historia. Ale on ją miał pod ręką, uniósł się, no i zrobił, co do niego należało...

— Jakto?... Wy go pochwalacie?!...

— Co znowu!... Takiego łotra, co mi małpę zabił?! Uchowaj Boże, ja nie pochwalam, za to się w kozie siedzi. Mówię tylko, że kochankowi powinna być wierna...

— Dlaczego nie powiedzieliście tego wszystkiego tam, u mnie.

— A co mnie to obchodzi. Czy to ona była co dobrego?... Ugotowała mi kiedy porządnie,

albo uprała na czas?... Nawet dzieci nie było i musiałem obcych ludzi najmować do kataryny: takiego łotra, co mi sprzedał papugę i wóz popsuł, co mi zabił małpę...

— Więc jakże to wreszcie było? Czemu on zabił małpę?

— Widzi pan sędzia! byłbym zapomniał a to najważniejsze. Zabił ją wcale nie przypadkowo, ale rozmyślnie, bo się rzuciła na pomoc mojej żonie, która jej zawsze dawała jeść... Skoczyłem wprawdzie, żeby ją obronić...

— Żonę?...

— Nie! małpę, ale już było za późno... Leżała już w własnej krwi... Moja biedna... droga... nieoceniona małpa...

— To wam właściwie tylko o małpę idzie — o żonę nie?

— Panie sędzio!... Przecie pan sędzia uczony człowiek, to pan zrozumie z łatwością... Taką kobietę jak ta, to ja sobie znajdę wszędzie, jeżeli będę taki głupi drugiej szukać... A taką małpę?... taką małpę jak moja była... gdzie drugą znajdę?... gdzie?!...

Głos mu się złamał przy tych słowach, twarz pomarszczyła, wyciągnął czerwoną chustkę z kieszeni i płakał zwiesiwszy głowę nad zwłokami małpy, która w paradnym mundurku, z szabelką u boku, niby żołnierz, co skończył na placówce, leżała na ziemi rozciągnięta. Dokoła niej personal cyrku pcheł błakał się w rozsypce, kobieta bez nóg, blada i zmartwiona, cerowała sobie opodal pończochę.

UKŁAD.

— Widzisz... niedobra jesteś żoneczko... Nie słuchasz mnie.. Po co to czytałaś?... I to jeszcze tak późno, przed samem spaniem... Prosiłem cię tyle razy, dzieciaku: nie czytaj gazet!... Po co ci te śmieci?... Czy nie masz dosyć pism literackich?!

— Przeglądałam „Ducha czasu“ ze względu na ciebie...

— Ze względu na mnie właśnie przeglądać go nie powinnaś. Mówiłem ci przecie, że spotkać się w nim możesz z rzeczami, które cię zmartwią, choć na nie plunąć nie warto. To nie dla kobiet. Wy na to macie za cienką skórkę, za subtelne nerwy, za czułą wyobraźnię. Ale tak, nie przecz napróżno, mój różowy cherubie. Widziałem, że byłaś cała pod wrażeniem tych bredni.

— Jakże miałam nie być... Napadają cię w taki ohydny sposób! Robią ci takie niegodziwe zarzuty!...

— Dziecko!... Gdybyś wiedziała, jak ja ich napadam w „Pochodni“, co ja im czynię za zarzuty!... Siekańcami strzelam do tej szajki! wypuszczam na nich zatrute strzały!... kiedy z ich strony pukają tylko ślepe naboje...

— A jednak „Duch czasu“...

— No tak. „Duch czasu“ strzela lepiej od innych, celniej, ostrzej. „Duch czasu“ sam jeden używa ostrych naboí. To jest przeciwnik seryo.

— A widzisz!...

— Ale nie lękaj się go... To zarazem najlepszy mój przyjaciel...

— Chyba żartujesz. Uchodzi za najzaciętszego twego wroga...

— Tak... oficjalnie... w oczach świata... Przed światem walczymy z sobą istotnie na śmierć i życie!

— Macie przecież zupełnie odmienne cele...

— Zupełnie odmienne cele, odmienne drogi, odmienne hasła, programy, barwy, styl, format, papier, krój czcionek — wszystko!... Ale aby „Duch czasu“ miał się stać dla mnie kiedykolwiek groźnym?... do tego nigdy nie przyjdzie.

— Więc spodziewasz się go zwyciężyć?

— Po co? Walka nasza zostanie nierozegrana.

— Wiesz na pewno?

— Leży to w naszym wspólnym interesie, moim i jego. Taki układ...

— Układ?... Nic nie rozumiem...

— Nie dziwię się temu wcale, moje ty objawienie. Jesteś zanadto dobrą i cacaną, aby rozumieć te strony życia. Aby cię jednak raz na zawsze wyleczyć od zajmowania się i dręczenia niemi, na czemby one nic nie zyskały, a stracić mogła pogodną gładkość twego ślicznego, białego czoła i anielski wyraz twoich uśmiechniętych usteczek — wyjawię ci, Dalilo, tajemnicę tej

farsy, pod warunkiem, że nie odkryjesz jej nikomu, a to tembardziej, że gdybyś nawet odkryła, nie prędko by ci ktoś uwierzył.

...Istnieje przysłowie łacińskie: *mundus vult decipi ergo decipiatur* — co znaczy mniej więcej: głupcy są na to, aby z nich żyć.

...Życie — widzisz — jest ciężkie. By je sobie ulżyć, nowi przybysze żwawo brać się muszą do dzieła, bo ci co przed nimi przyszli, nie troszczyli się o nich zbyt. Ludzie sprytu zakasują więc ręce i dalej do roboty — głupcy zaś... głupcy spuszczaają się na sprytnych. Wystarczy do jednego się uśmiechnąć, drugiego poklepać po ramieniu, trzeciemu palnąć grzmiącą mowę albo patetyczny artykuł — a będziesz mieć wszystkich za sobą. Uwierzywszy, żeś ich przyjaciel, opiekun, brat, wódz, okrzyczą cię mądrym, dzielnym, szlachetnym, wielkim, napelnią ci kieszenie, zrobią ci sławę, pasują cię na półboga — w ogień za tobą by poszli. Tłumy głupców, jak wierni poddani, znoszą w hołdzie sprytowi wszystko czego żąda, ozłacają mu teraźniejszość — a on w zamian daje im to, co im wystarczy: nadzieję!... — obiecuje im przyszłość. Obietnica nie sprawdzi się oczywiście nigdy, przed zawodem jednakże przychodzi śmierć. Śmierć w złudzeniu!... czegoż chcieć więcej?...

...Otóż życie składa się z takich złudzeń, którym jedni poddają się mimowoli, przez swoją ślepotę, inni rozmyślnie, dla przyjemności. Ludzie lubią, bo potrzebują się ludzi. Skłonność ta objawia się w tysiącznych kształtach. Przypo-

minasz sobie zapasy atletów w cyrku? Publiczność, podzielona na dwa obozy, z zapartym oddechem śledziła walkę. Ty sama należałaś do jednego z tych obozów, wierząc święcie, że tam wśród areny waży się zwycięstwo większej siły, większej sztuki, szczęśliwego trafu wreszcie, zanim cię oświeciłem, że w cyrku i wszędzie staczają się ku zabawie tłumu walki pozorne tylko, z programem ułożonym z góry, gdzie wynik spektaklu naprzód jest przewidziany po zapasach zwycięzca z pobitym po bratersku dzielą się kasa i razem idą oblać świeży połów.

— Zatem „Pochodnia“ i „Duch czasu“...?

— No nie, nie bierz tego zbyt dosłownie. Nie stawiaj zapaśników politycznych na równi z cyrkowcami...

— Lecz to, co robią?...

— Robią, czego od nich żąda świat, mój trzpiocie. Odgrywają swe role w inscenowanym od wieków przez naturę spektaklu. Od stajennej umowy cyrkowych siłaczy jednak oddziela cała przepaść to telepatyczne porozumienie, odczuwanie się raczej, wybitnych inteligencyi, wykluczających się w zasadzie, sprzymierzonych przez kulturę, zmuszonych walczyć z sobą, ale nie myślących pożerać się dla marnego oklasku tłumu. Jestto jak gdyby turniej dwu znakomitych fecht mistrzów, którzy popisując się świetnymi cięciami, zapobiegli ich szkodliwości przez użycie rękawic i masek. Jedno i drugie możnaby odrzucić i wówczas „Duch czasu“ rozplątałby łąb „Pochodni“ albo „Pochodnia“ „Duchowi czasu“ —

jedna ze stron pozostałaby panią placu, ale straciłaby jedyne go godnego siebie przeciwnika, zaryzykowała w dodatku, że sama padnie. Wprawdzie w tym razie zyskałyby tłumy efekt krwi, któryby im się z pewnością podobał. Lecz wówczas zabawka skończyłaby się dla nich zbyt prędko a nas kosztowała zbyt wiele. Trzeba się więc trzymać dawnych wypróbowanych metod i godząc sobie w same serca — używać przytem teatralnych sztyletów...

— A gdyby tłumy przejrzały?...

— Tłumy? Głupie tłumy?!... Musiałyby pierwej wymrzeć, ustępując miejsca mądrzejszym. Tymczasem głupcy zostawiają dzieci, zazwyczaj dużo dzieci. Dlatego głupota jest nieśmiertelną, równie jak spryt zresztą... Nie, mój aniele! nie obawiaj się o przyszłość, zbudowana ona na granitach!

— ...A... cel tego wszystkiego?...

— Cel?... cel?...

Rzecz dziwna... zgubił cel, nie widział celu. Lecz znalazł go w oka mgnieniu, zabłądziwszy oczyma w spiżową gęstwę jej włosów, wśród której różowiło się małe, rozognione uszko kobiety.

— Cel!... Jakto?!... I ty się o cel pytasz?!... Ty? moja pieszczoto?... Ależ cel — to twoje szczęście! to twój uśmiech! to ty! ty! ty!...

Więc to jest cel?... Troska zniknęła z jej czoła, objęła oburącz szyję męża, szepcząc:

— Zgaś lampę...

Taki cel godził ją ze wszystkim. Nie będzie już nigdy czytać pism politycznych.

SERCE Z PIERNIKA.

— Chciałbym ci się z jedną rzeczą zwierzyć Franiu...

Było to przed kramem piernikarza na odpuście, wśród ciżby, zgiełku, kurzu i gorąca. Obie młodsze siostry Frani, Hela i Józia, matka, ciotki, ojciec, znajdowali się w tłumie.

— Możesz mówić — odezwała się zimno, wyniosłym tonem dam, słyszonym w magazynie, gdzie pracowała. Ponieważ był względem niej zbyt natarczywym, czego nie lubiła, trzymała go więc od siebie z daleka od kilku miesięcy, mimo że byli po zaręczynach. Okazywała mu niechęć tem wyraźniej, aby dowieść, że z jego ostentacyjnych umizgów do sióstr swych nic sobie nie robi.

Był pięknym chłopcem. Głos miał ochrypły, jak wszyscy feldweble, trochę z wódki, a trochę z głośnej komendy, ale miał gruby, czerwony kark, rumiane policzki, mocno wykrecone wąsy i pachł na trzy kroki tytoniem i pomadą. Przytem znał się na grzeczności. Nim tedy zaczął mówić, wybrał z straganu i kupił duże piernikowe serce a potem wręczył Frani, która je machinalnie przyjęła. Szli dalej przez ciżbę.

— Jutro wychodzę z wojska...

— Wiem.

— Powinnibyśmy się pobrać. Jesteśmy narzeczeni.

— Przypomniałeś sobie?

— Żebyś ty Franiu wiedziała, jaki ja nie-szczęśliwy? — odsapnął, imitując westchnienie.

— Ciekawam, co tam znowu nowego!...

— At... Muszę ci oddać pierścionek...

— Co?!... — i stanęła.

— Tak jest. Masz... Muszę się ożenić z Helką.

— W imię ojca i syna!... Zwaryował!...

— Nie zwaryowałem, słowo honoru daję. Z Helką, albo z Józią...

— Co ten plecie!... co ten plecie!... Tyś się upił?...

— Nie upiłem się, ale się upiję. Chciałbym się na śmierć upić.

— Powtórzo jeszcze raz.

Powtórzył i objaśnił. Zwraca jej słowo, ponieważ musi ożenić się z jedną z jej sióstr, Heleną albo Józefą, a to dlatego... dlatego, że... że ona dla niego była zimną, obojętną, nieprzy-
stępną, odpychającą, a on był tem dotknięty zraniony... Więc potrzebował czyjejs pociechy, czyjegoś serca... Potrzebował się zwierzyć, poża-
lić, zagłuszyć... Umizgał się zatem do jej sióstr. Całkiem niewinnie, rzecz prosta. Był przecie jakby przez pół ich szwagrem. Ale w pewnej chwili rozgoryczenia nawinęła mu się Helena, z którą byli jak brat z siostrą i naraz... Och podle sobie postąpił, w całym znaczeniu podle,

ale nim miał czas pomyśleć, zastanowić się... Niestety chciało, że na tem sam na sam zesłała ich Józia. Wtedy Hela uciekła a Józia poczęła mu robić wyrzuty... Bo i z nią był jak brat z siostrą a nawet więcej... Aby ją udobruchać i skłonić do milczenia, zaczął ją zapewniać, że się pomyliła, że Hela go nic nie obchodzi, że (po Frani naturalnie) nad wszystko w świecie ceni Józję... i wówczas... O! podle! nad wszelki wyraz podle sobie postąpił, ale nim zdołał pomyśleć, ochłonać...

— Weź sobie to serce, bo rzucę... Nie chcę go. Daj Helce albo Józce.

— Widzisz teraz sama, że z jedną albo z drugą ożenić się muszę... A ponieważ jutro wychodzę z wojska...

— Matko Święta! Matko Święta! Co on mówi! Co ten człowiek mówi!.. Co ciebie opętało?... Co ty mi tutaj pleciesz?!... To nieprawda! Wszystko nieprawda!... Ja tego nie chcę słyszeć... Ja ci nie wierzę!... Z tego nic nie będzie!... Wyperswaduj to sobie! Słyszysz? ...

Francia kochała Stefana. Była stateczną, patrzącą w przyszłość, marzącą o własnem gnieździe dziewczyną. Pierścionek — to były w jej oczach trzy czwarte ślubu. Wyobrażała sobie, że pierścionek przykuwa mężczyznę, nie dając mu jeszcze żadnych praw. Wszystko inne było drobnostką wobec pierścionka. Praw, jakie miała ona, właścicielka zaręczynowego pierścionka, nie posiadała według jej mniemania i posiadać nie mogła żadna inna.

— Ja ci powiem. Sprzykrzyłam ci się, chcesz się mnie pozbyć i dlatego dałeś sobie zawrócić głowę jednej z tych...

— Nie!... Ciebie tylko kocham... Ciebie — ty wiesz — nad wszystko w świecie... Ale obowiązek...

— Pierwszy obowiązek masz względem mnie!

— Nie taki.

— Ale pierwszy.

— Żeby tu nie o twoje siostry szło!...

— Czemuś pierwiej na to nie miał względu?

— Przez ciebiem głowę stracił.

— Zrobiłeś jedną podłość, a teraz chcesz zrobić drugą, jeszcze większą...

— Chcę naprawić!

— To się nie da naprawić. Z oboma się i tak żenić nie możesz, więc niech sobie piją to piwo, co go nawarzyły. Nie miały prawa do ciebie! Kradły mi cię jak złodziejki, po kryjomu. Ja cię odbieram. Ty jesteś mój. Ani jednej ani drugiej cię nie odstąpię. Mam twój pierścionek!... Pamiętasz, ileś mi razy przysięgał?...

— Ja cię i tak do śmierci kochać będę...

— Ale się z inną chcesz żenić!... Nie!... To by ładnie było, żebym ja, com była uczciwa, cierpieć miała przez łajdaczki. Taki wstyd!... Pół roku jesteśmy zaręczeni... Noszę jego pierścionek!... a ten się żeni z inną... z moją własną siostrą!... Tylko w wodę skoczyć... Ale nie! Nic z tego!... Żebym miała nie wiem co zrobić — nic z tego!...

— Moja Franiu... Nie wiesz, jak one napierają na mnie.

— Obie naraz?

— Każda z osobna. Jedna o drugiej nie wie. Grożą mi Bóg wie czem... Chcą powiedzieć rodzicom...

— Niech powiedzą. Będziemy widzieli, po czyjej stronie rodzice staną.

— To można z góry wiedzieć, że po ich.

— A to skąd?... Sami się zgodzili, żebym za ciebie szła.

— Wtenczas nie było jeszcze tego co teraz... Jak się dowiedzą od Helki i Józki... staną po ich stronie...

— Dlatego, że ci się dały zbałamucić?

— Dlatego.

— Tak?!... To ja powiem... powiem, że i mnieś zbałamucił...

— Nie uwierzą. Będą mnie wypytywać — a ja przecież kłamać nie mogę... nie potrafię...

— Nie potrafisz kłamać?!... Och! jakiś ty podły! Ale nie stanie się tak, jak myślisz, jak one sobie ułożyły. Jeżeli one mają mieć większe prawo dlatego, że były twojemi kochankami, to i ja potrafię to samo... O! ja jestem uczciwa dziewczyna! Mogłeś się o tem przekonać. Znasz mnie dwa lata. Ale kiedy ja ciebie mam tracić przez to, żeś uczciwa — dosyć tej uczciwości. I ja potrafię dać się zbałamucić!... I ja!... Musisz i mnie zbałamucić... Słyszysz?!... Musisz. A może już nie chcesz?!... Co?... Tyle razy musiałam się z tobą bić po ciemku jak z zbójem, podar-

żesz na mnie suknię, a teraz może nie chcesz?...
O! nie z tego!... Musisz. Dziś jeszcze. Jak tyl-
ko wrócimy... Pamiętaj sobie, skoro wyjdiesz od
nas po herbacie, zaczekasz w ogródku... Jak się
uspokoi, przyjdę do ciebie... Muszę mieć to sa-
mo prawo co one! muszę!!... A wtenczas — niech
sobie robią co chcą! Ja jestem twoja narzecz-
ona!... Ja pierwsza!! Daj to serce. Niech widzą,
żeś mi kupił. Niech sobie wiedzą, że ja jestem
twoja a tyś mój!

SZCZĘŚLIWI.

Siedzą w krzesłach i ziewają, korzystając z zaciemnionej widowni. Na scenie trzeci akt „Dzwonu zatopionego“. Mistrz Jan wyrzuca z piersi-wulkanu lawę natchnionych hymnów na cześć słońca. Jakże nie mają ziewać!

— W ilu to aktach?

— W pięciu.

— Jezus!

Trzeba jednak siedzieć do końca. Bywanie w teatrze robi dobrą markę, wyjście przed końcem ośmiesza, trzeba siedzieć. Ale —

— Jakie to głupie?!...

— Dobrze na libretto do opery.

Jestto bardzo sympatyczne młode stadelko, na które młodzi ludzie, wzdychający do posagu i młode panny, marzące o czepeczku, patrzą z tajnym podziwem i zazdrością. Ona wygląda na gąskę ale jest milutka, jego fizyonomia nie różni się niczem od miliona innych, ale ma on być podobno sumiennym urzędnikiem.

Małżeństwo to zapowiadało się oddawna, że jednak po rodzicach zostało jej niebezpieczeństwo suchót, czekało się więc do pewnego wieku. On chociaż nie ma jeszcze lat trzydziestu pięciu, ale jest już zupełnie łysy. To ta rteć... Ale

to już wszystko... gruntownie... tego... Lekarz pozwolił mu się żenić. Podobali się sobie, on się spodziewa awansów, ona kamieniczki po bezdzietnym wuju — czemu by się nie mieli pobrać?

A teraz żyją jak para gołąbków. Podczas kiedy on w biurze nadskakuje szefowi i opędma się, resztkami sił, jak może, zachodom kolegów, usiłującym go wciągnąć w atmosferę kart i kufla pobudzającym ambicję: „A cóż z was u diabła za mężczyzna!...” — ona przebiega targi, przygląda się wystawom, zbiera nowinki, poczem przyrządza z pomocą sługi jeden z tych cudnych poematów, jakimi są w czasie miodowych miesięcy dla młodej pary niedogotowane, niedosolone i przypalone potrawy, podane drogą rączką i przyprawione słodkimi nad wszystko w świecie spojrzeniem i uśmiechem.

Czasami... po objedzie... Ale tylko czasami. Lekarz odradził im to w sekrecie, osobno jemu, osobno jej.

— Ależ kochany konsyliarzu!... Kiedy bo właśnie po objedzie...

— To nic. Od czego silna wola?... Organizm po objedzie chce trawić!

Odradzając, zaostrzył oczywiście pokusę. To też mimo zakazu... czasami... Ale bardzo rzadko.

Potem znowu biuro, poprzedzone ognistym pożegnaniem, jakby na lata. Wieczorem spacer pod rękę, imitacja, co dzień bledsza, takichże spacerów przed pobraniem. Potem jeszcze poemat w kształcie kolacyi i gawędka. W chwili, kiedy ubogie temata miłutkiej gąski i sumiennego u-

rzędnika zaczynają się wyczerpywać i zagrażać ziewanie... spotykają się ich ręce. To ich ratuje. Pulsa zaczynają bić żywiej, policzki się rumienia, oczy błyszczą... reszta jest milczenie. Długo — ciepłe — rozkoszne milczenie pocałunków młodości, cicha rozpusta ciała, najpiękniejsza chwila w życiu tych dwojga, co są ciałami tylko. Nazajutrz toż samo: ona uzupełnia swój świat mebli i garnków, on swój kawałków i akt.

— Nie skończy się przed dziesiątą...

— To nic, będziemy lepiej spać!

Opuściwszy teatr, przytulają się do siebie, znajdując, że chwila ta jest może najprzyjemniejszą z wieczorów, spędzanych w teatrze. Po drodze drzwi z sztuki, przedrzeźniając słowa, które wpadły im w ucho jak dźwięki tureckiego kazania, a potem on sięga po niewyczerpany temat: swoich widoków na awans — wtajemniczając ją w drogi, cele i szanse a ona podziwia jego rozum, aby mu się przypodobać.

— Bo widzisz Basiu, oficyał... co to jest oficyał?!... To ujdzie kawalerowi a co najwyżej kiedy się jest we dwoje tylko... Ale za kilka miesięcy... skoro ty spieszysz się jak na dobrą, kochającą żoneczkę przystało...

Nakryła mu usta dłonią, którą ucałował czempredzej. Nie uczyniła tego przez wstyd, lecz przez zabobon. Nie trzeba uprzedzać przyszłości...

Mimo tego zaczyna marzyć... Ogarnia ją poezja instynktów macierzyńskich, wyższych niż popędy kochanki.

Za kilka miesięcy!... Co za muzyka w tych słowach!... Czarodziej!... niebo jej otwarł!...

Odczuwa jej nastrój i poddał mu się także. Zdaje mu się, że ma przed sobą wielki cel!...

Nim przeczuć zdołali własną nicość, natura zaprzęga ich do pracy około nowych, przyszłych nicości. Natura nie znosi próżni.

„Za kilka miesięcy...!”

...Jeżeli tuberkuły nie odezwią się w matce...

...Jeżeli rtęć nie przypomni się w dziecku...

...Jeżeli wuj zechce nakoniec umrzeć a nie ożeni się przed śmiercią...

...Jeżeli...

Ale to wszystko będzie jutro. Dziś — są szczęśliwi.

STATUA.

...Opuszczona, zapomniana, stała kamienna figura Matki Boskiej w kąciuku ogrodu za kościołem, w zawsze tej samej, cichej i skromnej postawie opiekunki, pocieszycielki, spoglądającej na dół ku maluczkim i biednym oczyma pełnemi dobroci bez granic i nieprzebranej łaski i przygarniającej ich do swego łona miłośnie.

...Dawniej, przed ćwierć wiekiem, posążek ten, wówczas słonecznie biały, świeży, piękny, jedy-ny, — używał tłumnej czci wierzących. Rozle-gały się u stóp jego śpiewy, roili się ludzie, pło-nęły światła, zapalone nabożną ręką. Lecz potem ktoś — z pobożności czy przez próżność — ufun-dował na froncie kościoła nową, wspanialszą sta-tuę i ludzie — jak ludzie — odwrócili się od dawnej pani a poszli za nową, której sukienka była świeższa, bogatsza, która miała może więcej łask do rozdania, nie wyświadczywszy ich jesz-cze nikomu. Dawna figura popadła w zapom-nienie, opuszczona przez wszystkich. Została sa-ma — z żywiołami — codzien czarniejsza, uboż-sza, smutniejsza, cichsza, świętsza, w płaszczu roz-puszczonych włosów na szarej, żebraczej sukien-ee, którą zimna i słoty brudziły i darły bez prze-stanku. Prócz śpiewu much, zawodzeń wiatru

i ptasiego kwilenia, prócz blasku słońca i migotania gwiazd, oprócz kornego uścisku obejmującej ją za stopy gąszczy chwastów, nie zostało jej nic z dawnej chwały. Po odejściu ludzi otoczyły ją zwartem kołem i przytuliły się do niej tylko osty, pokrzywy, łopuchy, wżgardzone i wygnane przez ludzi zielska skupiły się u jej nóg i coraz gęstszym lasem spinały się w górę, aby całować ręce królowej bez ludu.

Jedyną wierną duszą ludzką, jaka jej pozostała, jak podupadłemu panu zostaje czasem jedyny wierny sługa — była jakaś stara, obdarta, skrzywiona, z podwiązaną twarzą, kulejąca kobieta. Wlokąc się popod sztachety ogrodu raz na tydzień przed zmierzchem, w drodze do samotnej staruszki, przy której miała spędzić noc — stawała u sztachet, wsparłszy się o nie dla odpoczynku, i posyłała wtenczas w stronę Matki Ukrzyżowanego jedno krótkie łzawe spojrzenie — skargi czy błagania?... prośby o przebaczenie win, o życie lepsze, czy o rychłą śmierć?... Postawszy chwilę, stękając szła dalej.

Pewnego dnia w maju pośród dewotek urządzających krzykliwe śpiewy przed okazałym posągami Maryi na froncie kościoła, powstał spór o świeczki. Wynikła z niego secesya pobitej mniejszości i projekt modłów oddzielnych. Gdzie?... Przypomniano sobie figurę w ogrodzie i zwrócono się do proboszcza z prośbą o zezwolenie. Udzielił go.

Pragnąc zaćmić zwyciężką partyę — świętoszki przystąpiły do dzieła z zapalem. Przede-

wszystkiem wzięły się do wystrojenia posągu w galowe szaty. Wytępiono zielska, wyszorowano kamień ługiem, wygładzono jego szczyrby i blizny, podniesiono napół obalone ogrodzenie z krat, a potem przyszedł kowal, malarz, pozłotnik i w kilka dni zczerniała i poraniona rzeźba stała się gładką, kolorową, świecąca, otrzymała różową twarz, błękitne oczy, blond włosy, barwiste suknie, nimb wyłaczany otoczył jej cichą, dziewiczą główkę i sierp księżycy zasrebrzył się pod jej stopami, a nad tym królewskim zbytkiem, niby nad świetną toaletą strojnisi, rozpostarto blaszany baldachimek, mający chronić od ulew i skwaru bogatą sukienkę tej, która dwojgiem rąk słabych, niewieścich, osłania rodzaj ludzki przed złością czarta. Pstra girlanda papierowych kwiatów zajęła miejsce dawnej, dzikiej zieleni, tłum świeczek urąga słońcu i gwiazdom a modlitewną ciszę wygnał precz z tego miejsca przeźliwy zgiełk głosów, dobijających się tutaj co wieczór na wyścigi o wstęp do nieba.

...Raz tylko dawna, wierna czcicielka zjawiała się w obliczu tak odmienionej statuy — i stała jak wryta.

Stała tym razem u sztachet i wpatrywała się w postać Maryi dłużej, boleśniej, niż kiedykolwiek. Od tego czasu jednak przestała chodzić tą drogą.

ALBUM.

— Nim cię zapotrzebuję, mój chłopcze, rozejrzyj się po przybytku. Gabinety wielkich ludzi i wielkich hultajów są zawsze interesujące. Nie chcę być złośliwym i dlatego odpędzam, jako paradoks, cisnące mi się na usta zdanie, że połowa wielkich drabów uchodzi do czasu za wielkich ludzi, albo, jeśli wolisz, połowa wielkich ludzi okazuje się po czasie hultajami. Tem bardziej nie myślę rozstrzygać, czy druga połowa nie zawdzięcza ocalenia aureoli — protekcyi trafu. No, baw się. Ja przestudyuję tymczasem dalszą seryę papierów. Polecam twej ciekawości szuflady tego tam biurka. Jestto biurko prywatne, nie urzędowe, biurko *viveur'a*, nie przemysłowca, biurko, przy którym czytano i pisano listy miłosne; fałszowanie weksli i bilansów odbywało się przy innym.

Radca poprawił szkieł na nosie i płomień u lampy i zatopił się w papierach, w tym puchu marnym, zawisłym od zębów myszy i lichej iskierki, w którym utrwala się cała wielkość i cała nędza człowieka, jego duszy, jego czynów, jego historii. Funkcyę tę poruczono w tym wypadku wyjątkowo tej niepospolitej sile. Wyjątkowy skandal wymagał wyjątkowej ręki —

a także dyskretnej. Nie chciano składać w pierwsze lepsze ręce tajemnic, których rozciągłości nikt nie był w stanie przewidzieć i dlatego wszyscy się ich bali.

Niemniej ochoczo, z innemi jednak uczuciami, zabrał się bratanek, młodziutki, początkujący adept Temidy, który umiał się czasem rumienić jak dziewczyna, do swego nieoficyjalnego przeglądu. Biurko *viveur*'a! Niemy i naraz obdarzony mową powiernik słynnego Don Żuana! tego rycerza zwycięskiej miłości, który posiadał wszystko, co łamie kobietę: imię, tytuł, stanowisko, stosunki, pieniądze, urodę, młodość i sławę niezwyciężonego, na którego wspomnienie oczy jednych kobiet okrywały się mgłą rozkoszną a usta innych, skazanych, wykrzywiały udaną wzdardą...

Ciekawość, zazdrość i żądza, rosnąca jak pożar, rozpalały szybko młodego człowieka. Ze zdumieniem przerzucał bileciki, listy, telegramy, na których już jakaś ręka popodkreślała gdzieniegdzie zdumiewające zapałem lub cynizmem wybuchy namiętności, sensacyjne szczegóły, zagadkowe listery, imiona, pseudonimy i nazwiska, znane całemu światu, czasem śmieszne, czasem zadziwiające — tu, w tem archiwum miłosnem, na listach najściślejszej poufnej natury, które oddawały wiernie cały nastrój sypialni kochanków przy drzwiach zamkniętych i opuszczonej roletcie... — A listów tych i korespondencyj, z których przecie każda niemal reprezentowała całą osobną historję, całą szaloną fugę pieszczot od pierw-

szego namiętnego pocałunku poznania aż do ostatniego wymuszonego przed rozejściem — były setki, może tysiące!

Ileż ten człowiek miał sił! czasu! ochoty, sposobności i szczęścia!... Istny czarownik... Rubens! Napoleon! Lope de Vega miłości...

— Może się nudzisz Mieciu?... Dam ci akta szwindlu z przedsiębiorstwem tkackiem...

— O nie, dziękuję...

— Wolisz miłość?... Łobuzie. Zgłębiaj więc miłość. Tem lepiej dla ciebie, im prędzej poznasz, jaka to płytką toń.

Młody człowiek zdumiewał się prosto ilości zwycięstw. Ileż ten hultaj kobiet uwiódł! przez ile był kochany!... Niepodobna ich było zliczyć. Listy zapełniały trzy szuflady. Kilkaset charakterów pism składało się na nie. Trudno było przypuścić, aby między nimi znajdowały się listy od zwykłych kokotek. Ten człowiek nie potrzebował chyba sięgać tak nisko po słodkie owoce dla swego nienasyconego podniebienia. A więc?... Kto one były te wszystkie, ukryte pod maską tajemnych znaków, liter, imion przybranych, fantastycznych nazwań, związanych zapewne z wypadkami, pełnych znaczenia, choć niezrozumiałych obcemu...

Następna szuflada zawierała fotografie. Rzucił się na nie w pierwszej chwili łakomie, były to bowiem same fotografie kobiet, młodych i ładnych wyłącznie, kobiet ze wszystkich sfer, zapewne kochanek, ale nie było to pewnem. Jedynie obecność ich w tym zbiorze nasuwała to

podejrzenie. Młody człowiek, pieszcząc swe iskrzące oczy widokiem tych ślicznych kwiatów piękności kobiecej, wychylających figlarne lub poważne usta, oczy, noski, z bukietu włosów, układających się dokoła nich na tysiąc rozmaitych sposobów, — z goryczą pewną począł myśleć. Ilu też kochanków, narzeczonych i mężów rozpoznałoby może pośród tych twarzy rysy tej, która przysięgała im rozogniona i drżąca miłość pierwszą i jedyną, a w przeddzień lub nazajutrz po tej przysiędze zostawiała swój portret temu raubritterowi miłości, który dołączał go do kolekcji. Gdyby je tak wystawić na widok publiczny? — co za rewelacya!... co za jaskrawe światło, rzucone w kłamliwy mrok życia obyczajnej społeczności, w nietykalną tajemnicę prywatnych egzystencji i sanktuarium rodzinnych ognisk.

I pomyśleć sobie, że potrzeba było, aby ten tryumfująco uśmiechnięty i dumny światowiec, spadkobierca baronowskiej korony i historycznego nazwiska, wygłaszający przy każdej okazji surowe zasady etyczne, który jednocześnie rozjeżdżał ludzi po ulicach, a zawieszonych od siebie traktował jak psów — okazał się pospolitym łotrem, długoletnim zbrodniarzem, opierającym swe stosunki, swe wesołe i wystawne życie na kradzieży i oszustwie, by się odsłoniło całe to bagno brudów, w których nienasycony i brutalny egoizm topił cudze mienie, cudzą uczciwość. cudzy spokój...

— Jakże się bawisz?

— Tak sobie.

— Widziałeś już album?

— Album?... Czy to w zielonym pluszu z złotym amorkiem na wierzchu?...

— To samo.

— Właśnie je biore w ręce.

— Nie wypuszczaj go z nich. Polecam je twojej uwadze. Ale się spiesz. Za chwilę idziemy.

Otworzył metalową zapinkę i spojrzał na pierwszą fotografię w podłużnym, makartowskim formacie.

No tak, naturalnie; można się tego było spodziewać... Naga kobieta. Nagość współczesna, aktualna, z natury, nie z obrazu, zresztą pełna smaku. Dziwić się raczej należało, że dotąd nie spotkał ani jednego takiego okazu w całym zbiorze. Skrzywił się jednak z niesmakiem. Ubóstwiał miłość, brzydził się pornografią. Czyliż stryj nie wie o tem? Mimo to przeglądał karty albumu jedną po drugiej, nie bardzo zajęty temi wspaniałemi co prawda ciałami, które w coraz to innych pozach bachantek, nimf, Led, Wener, robiły jednak wszystkie razem wrażenie pozujących za pieniądze kokot lub szansonistek...

Naraz... Co?... co?!... Zatrzymał się jak wryty. Oddalił oczy od albumu, nie odrywając ich od najświeższej karty, a potem nachylił się ku niej napowrót i wpatrywał się osłupiały w odтворzoną na niej kobietę w ślicznej pozie, jak pijana Nimfa, wijącą się na pstrym, pofałdowanym kobiercu...

Ależ to... tak jest!... niewątpliwie!...

— Stryju! Ależ to pani U.!...

— Tak jest, mój chłopczyku, ona sama; pierwsza z kolei znajoma mi w oryginale piękność z uwiecznionych w galerii.

— Czy stryj jest pewny, że to ona rzeczywiście?...

— Za to ci mogę ręczyć. Zresztą dlaczegóżby nie? To rasowa kobieta. Musiałeś słyszeć coś o tem. Ale nie wyczerpuj dla jednej całego twe-go zdumienia.

Rada stryja bywalca okazała się słuszną. Co drugą kartę Mieczysław na nowo wytrzeszczał oczy, spotykając ze zdumieniem jakąś śliczną, podziwianą przez siebie, pożądaną skrycie, a szanowaną jawnie kobietę, z którą za szczyt szczęścia uważał sobie gawędzić dziesięć minut, przentańczyć walca, i którą całował ze czcią w rękę, wierząc niezłomnie, że tylko mąż jeden całuje ją gdzieś więcej. A teraz?... Teraz w nieprawdopodobnym jak sny rozpustne lub pijane hulanki karnawale bezwstydu przeciągały przed jego dziewiczemi oczyma utrwalone przez tak wiarygodnego świadka, jakim jest słońce — w rozkosznych, wdzięcznych, czasem zakłopotanych lub napół wylekłych, zawsze jednak to samo głoszących pozach, że były w mocy tego człowieka, zapominając o wszystkim, wszystko deprecując...

I to nietylko kobiety Balzac'a, lecz nawet całkiem młodziutkie lub takie, w których włosach odkrywano już — może tylko przez złośliwość — srebrne nitki... Ubóstwiane przez mężów!... rozkochane w dzieciach!... lekkie, we-

dług opinii, — zapominające się niekiedy, flirtujące tylko, nieskazitelne i zimne... Takie, na widok których myślało się: „no naturalnie“, i takie, które wzbudzały okrzyk: „ależ to niepodobna!“... Kobiety wszystkich sfer, wszelakiej urody i każdego wieku. Drobniutkie a smukłe jak laleczki i otyłe jak hurysy; zażenowane jak dziewczę, zaskoczone w kąpieli i rozpustne jak Leda; eteryczne jak Psyche lub pełne majestatu Diany — cały harem zamaskowanych kokot, z których twarzy szatan-przypadek zdzierał koronkową i wonną maseczkę kłamstwa.

Wyglądało to jak potwarz, zuchwale obryzgująca błotem to, co zdawało się dotąd niedosiężonem; przewracająca na opak długo, mozolnie, a z powodzeniem graną komedię ludzką.

Do dyabła!... Czyż to możliwe?... Czy one naprawdę są tak podłe... wszystkie może tak podłe, jak te hypokrytki światowe?... A może po prostu wierność, wstyd, czystość, są głupią złudą sentymentalizmu łatwowiernych niedołęgów, złudą, z której przyroda i życie drwią bez litości. złudą, która w kobiecie pryska wobec pojawienia się silnego samca?...

Spojrzawszy mimowoli na portret zwycięzkiego barona na ścianie, jak gdyby w oczach tych, patrzących śmiało, wesoło, bezczelnie, zdających się z cynizmem szydzić z jego naiwnych snów o cichej, skromnej, wiernej żoneczce, szukał rozwiązania zagadki — rozplynał się w zawrotnych mrokach pesymistycznej zadumy, gdy nagle ocucił go głos stryja:

— I cóż ty na tę wdówkę po głośnym rzeźbiarzu?!... na tę lilijkę przyczystą?!... kroczącą przez ulicę ze spuszczonei oczyma, ze skromną minką zakonnicy?... Prawda, jaki z niej miły łobuz tu, kiedy się przeciąga tak rozkosznie na tygryziej skórze?... Taki precudny biust, trący się o szorstką skórę tygrysa... Brr!... iskry lecą...

— Stryju!... stryju!!... ależ powiedz mi przez Boga, jakim sposobem...

— Jakim?... No oczywiście, że nie u fotografa dla wszystkich, nie u firmy „Apollo“, ani u braci Światłowskich. Zresztą sposobem najprostszym. Fotografia amatorska jest dziś tak rozpowszechnioną i przystępną, a aparaty migawkowe do momentalnych zdjęć tak udoskonalone... Kobietka, upojona szampanem, a nadewszystko miłością, staje się filozofką, przestaje się troszczyć o cały świat; przytem jest jej wesoło, gorąco, o co umiano się postarać... Odrzuciwszy więc już dawniej wszelkie skrupuły, dlaczego nie miałyby także odrzucić i wszystkich sukni?... Wówczas on nagle powiada: „Wiesz co, mój ideale, jesteś w tej pozie czarująca!... Nie ruszaj się, proszę, niech ci się napatrzę!...“ I odstepuje parę kroków, akurat do tego kącika, gdzie — o! jak widzisz — wśród fałdów drapeiry stoi dotąd jeszcze ukryty ten oto doskonały (informowałem się) aparat migawkowy. Jedno niepostrzeżone naciśnięcie balonika — i na przygotowanej kliszy „ona“ zostaje uwiecznioną bystrem okiem obiektywu, sama nie wiedząc o tem;

kronice skandalicznej przybywa jeden pikantny sekrecik, a historyi obyczajów jeden dokument...

— Tak, tak, rozumiem... Ale aby tu przyjść... aby się na coś podobnego ważyć!...

— A to znowu inna historia... Chodźmy. Przyjdę tu jeszcze raz jutro, poczem położy się pieczęcie. To znowu, widzisz, kwestya psychologii jednostek i psychologii płci... Nie myśl, abym chciał te panie odzierać w twoich oczach z szacunku. O nie. Owszem, zachowaj dla tych pięknych, wykwintnych, dowcipnych, nawet „dobrych“ całą cześć — ale cześć taką, jakiej są warte w każdym poszczególnym wypadku. Że niejedna z nich na pozorną tylko zasługuje — chciałem cię właśnie oświecić. Zresztą pamiętaj, że człowiek w ogóle jest bardzo słaby, a kobiety (czegośmy je długi czas starannie uczyli) są jeszcze słabsze. Należy im więc przebaczać, tem bardziej, że tak są milutkie!... tak pomimo wszystko milutkie!... Nie trzeba jednak dla tego jednego zapominać o wszystkim innem, bo toby nas zaprowadzić mogło do nieobliczalnych głupstw. Dlatego też radzę ci Mieciu, żeń się z córką Sakiewskiego. Córka nadradcy jest piękna, przyznaję to, jak jutrenka, i płomienna, jak Wenus. Doskonała na kochankę — może dać cudny rok życia (takie kobiety stają się nieznośnemi po roku). Jako żona — zatrułaby ci egzystencyę. Na żonę najlepsze są potulne gąski, kwoczki gospodarne, ciche, trochę anemiczne, skłonne do tycia, o wąskich ustach, bladych oczach i sercu jagnięcia. Taka kocha do śmierci, bo kocha sła-

bo. Jej bez obawy powierzyć możesz swój dom i swój honor, w chwili, kiedy sam spieszyć będziesz na schadzkę, jeśli twój temperament przymusi cię do tego. Przy tem Sakiewska jest partją posażną!... jej ojciec oprócz dużego majątku ma stosunki!... — a nadradca co?... Za pół roku przejdzie w stan spoczynku i nie wiem, czy ktoś potem więcej oprócz woźnego z jego biura kłaniać mu się będzie.

GÓRNIK.

Utkwiwszy oczy, z głębi łóżka, w sześciu wi-
szących na ścianie fotografiach, sześciu cudownie
pięknych platynotypiach, z subtelną dokładnością
oddających dzieło jego życia, całe dzieło, — Balski
pomyślał:

— Meissonier wymalował czterysta obrazów —
Rubens tysiąc — a ja sześć... tylko sześć...

Było to istotnie wszystko, co zrobił, jedyne
sześć bazgroł, jakie zostaną na świecie z podpi-
sem: Balski.

— I nie wymaluję już nic więcej!... W tym
roku zdechnę.

Nie rozpaczał. Miał rozpacz za najemną płaczkę,
której przesadnemi jękami egoizm umiła sobie
własną nędzę; za nierządnicę, obdzielającą cały
świat fałszywemi łzami, tak jak inne obdzielają
go plugawym uściskiem.

Owszem, to konanie z rdzeniem zmiażdżonym
przez uwiad, w trzydziestym drugim roku życia,
po wymalowaniu sześciu zaledwie płócien, wy-
dawało mu się tak głupią w swej nieprawidło-
wości historią, że aż śmieszna, że aż niegodną
współczucia. Chrząszczyk, bujając po łące, dał
się nadeptać raci wieprza, i oto opalowe skrzy-

dełka zwisły, osunął się w trawę, kona. Nie przywiązuje jednak do tego zbyt wielkiej wagi chrząszczyku — świat pójdzie dalej!... A co do ciebie samego... dzień wcześniej... dzień później...

Ale te sześć obrazków... te marne sześć...

— Wygląda to, — myślał — jakbym budował sobie — nie, memu bogowi! — wielki kościół, i musiał zdychać, skleciwszy zaledwie jedną z bocznych kapliczek...

A potem po chwili, ni stąd ni zowąd:

— Po co ja malowałem tę „bitwę“!... Po co?!

Nieraz już myślał, że „bitwa“ zadała mu cios stanowczy. Po każdym dniu wściekłej pracy, spędzonym przy niej z pędzlem w ręku, który z całego ciała, z wszystkich mięśni, nerwów i żyłek zdawał się wyciągać, wysysać całą ich żywotność, aby je przelać w kolorową wizję walki malowanych figurek — padał zemdłały, bez władzy w członkach, martwy niemal. I pewnym był, zapadłszy w ostateczną niemoc po ukończeniu tego dzieła, że w „bitwie“ oddał z siebie tę resztę życia, bez której niepodobna dalej istnieć. I leży teraz na tapczanie tortur przedśmiertnych, z ciałem do połowy bezwładnem, w które jak piorun lub strzały działowe wałą znienacka uderzenia straszliwych bólów — ponieważ malował ten obraz... Ten obrazek, wielki jak karta księgi — gdy inni pokrywali farbą ściany! sklepienia!.. i żyli...

— Nie umiałeś cenić życia! — wrzeszczy ciało z bezczelnością parobka, podnoszącego głos zuchwale, ponieważ kij w ręku pana złamał się.

— Nie umiałem umieścić celu mego w brzuchu — odpowiada sobie Balski — ani w skrzyni mocno kutej, ale gdzieś... tam... w chmurach...

„W chmurach“?!... Więc: ideał!... I po co to pozować mój chłopcze?... Przed kim?... Przed samym sobą?!... „Cel w chmurach“!... Cele nasze, skądkolwiekbyśmy je brali, z chmur czy z kałuży, umieszczamy wszyscy zawsze na końcu własnego nosa.

— Tylko nie wszyscy przez nie giniemy...

...Dusze ludzkie są niby żwir... piasek... gлина... kamienie... czasem tylko zlepy błota, a czasem głązy, wielkie, ogromne, aż do olbrzymich gór i niebotycznych szczytów...

...Ale w niektórych znachodzi się coś niezwykłego: cienkie, świecące blaszki, pyłki, ziarenka, nici, całe żyły, całe gniazda, grudy a nawet potężne bryły rodzime.

...W pewnych duszach, jak w niektórych skałach, znajduje się złoto. Ci, którzy otwarłszy bok złomu, natrafiają żyłę — czerpią z niej pełnemi garściami, niekiedy bez końca. Inni muszą rozbijać bloki, rozdrabniać, rozkruszać, na proch mleć je niemal i skrzętnie jak mrówka dobywać złote pyłki, zniszczyć do szczeru opokę, aby jej wydrzeć skryty skarb...

— Tak ty, opętańcze, rozsadałeś minami, rozbijałeś kilofem, młotami tłukłeś, miądzżyłeś, unicestwiałeś sam siebie, aby tę garstkę znikomego blasku z wnętrzości swoich wydostać...

Po co?!... Dla zysku?... Nie gonił za pieniędzmi, nie zdobył ich. Dla sławy?... Śmiał się

wzgardliwie zarówno z swych chwalców jak z tych, co obrzucali go błotem. Więc po cóż?...

...Po to, aby dobywszy z siebie garść złota, słońcu je w twarz rzucić!...

— Trzeba było rozbijać skałę na szuter, brukować nim drogi dla twych braci, a byłbyś się stał użytecznym publicznemu dobru i sił w czymś trudzie nie stargał... Tyś wolał szperać w gruzie za świecącym pyłem i cyzelować z niego błyskotki.

„Publiczne dobro“!... Ha! ha! ha!... Jakże go ubawiła myśl o tem zyskownem bzdurstwie, na którym tuczy się tylu oszustów i tylu głupich kamieniarzy z głodu przymiera...

Nie!... Nic dla „publicznego dobra“!... Nic dla układnych „braci“!... Nic dla siebie nawet!... a wszystko dla swoich snów... dla swego boga... tam... w chmurach!...

I naraz ten utwór myśli, to złudzenie ostatecznie, ten górnik, w świętym obłędzie snów o pięknie rozkruszający kamienie swego żywota — zaczął w oczach malarza, niby na rozpiętym płótnie, brać kształt żywy, kształt dzieła sztuki. I utkwiał tam, wgryzał się, wkorzeniał, przenikał na wskrós, oplatał całe jestestwo...

— Przed rokiem wymalowałbym jeszcze obraz... Dziś...

Przez chwilę duch Balskiego smagał biczami nadludzkiej woli odporne ciało, niby leniwego psa. Potem nagle zwłóknął się z swoich śmiertelnych leży, ujął w rękę pędzel i począł tchem,

krwią, życiem, malować górnika, co wydziera z głązów złoto, aby je słońcu w twarz rzucić...

...A kiedy oddawał skurcze tego ciała, w jego własnem ciele gasło ostatnie źródło mocy. A kiedy stwarzał barwą blask boga-słońca, patrzącego na tę samobójczą ofiarę — w nim samym poczynał już czernieć zmierzch ostatni. A kiedy ręka napół bezwiednie kreślić zaczęła kościane widmo śmierci, jak przykucznawszy u stóp pracującego górnika, patrzy mu w oczy szyderczo — zbrakło Balskiemu nagle władzy w palcach i martwy runął na ziemię.

LULU.

Co dzień po południu widzieć go można całe lato przed domem pani.

Nieruchomy jak posąg, w królewskim przepychu kudłów czarnych i białych, w ogromnej powadze swej rasy i swego wieku, odbywa się dziwy bernardyn na skraju trotoaru poobiednią siestę, wpatrzony w stronę, w którą panie poszły.

Godzinami całymi siedzi tak pod pierzastym parasolem młodej akacyi. Z otwartej paszczy zwisa mu cienki, różowy, drgający język. Od czasu do czasu Lulu kłapnie zębami na muchę lub opędzi jej się ogonem, albo skwarem spędzony, przeniesie się o krok dalej w cień. Zresztą zdaje się go nie obchodzić nic w świecie. Ani przyjazne zaczepki przechodniów, których jest ulubieńcem, ani lękliwe spojrzenia psów, okrążających z respektem olbrzyma, nie czynią na nim wrażenia. Jego lwi łeb, przypominający ponurą i silną maskę 70-letniego Böcklina, jego krwawe, zmęczone, owisłe ślepie patrzą na świat z wzdrgającym chłodem stojącego nad grobem mędrca, co wszystko poznał, od wszystkiego się odwrócił i czeka w pokoju śmierci.

Wieczorem dopiero, kiedy brudna, brzydki perspektywa ulicy poczyna niknąć w sonej szarzyźnie letniego zmierzchu, stare psisko prostuje nagle kark, podnosi się i z godnością stuletniego burgrabi postępuje naprzód parę kroków.

To panie jego wracają z spaceru!... wołają nań.

Lulu podbiega, poddaje głowę pod ich białe dłonie, z przymkniętymi oczyma ociera się rozkosznie o ich suknie i wymachując kiściastym niby pęk piór strusich ogonem, znika za niemi w bramie domu, szczęśliwy bez granic!

O BYT.

Na jesiennym targu kłębi się ciżba. Panie, kucharki, przekupnie, złodzieje kieszonkowi, policya. Krzyk drobiu i świń, chrypliwy wrzask przekupek, śpiewne głosiki szesnastoletnich gosposi, debiutujących w zastępstwie mamy, brzęk uprząży, turkot wozów i spiczasty pisk katarynki z ptakami, wróżącemi przyszłość — rozlegają się dokoła wesołym, ciepłym gwarem ludzkiego mrowia, uwijającego się za żerem. Co krok odbywa się nad koszem lub ławą pełen zażartości targ o osełkę masła, wiązkę cebul, parę jaj, w którym obie strony, sprzedająca i kupująca, rozlakomione na grosz zysku i satysfakcyę postawienia na swoim, wysilają się na tysiączne fortele. Chmurki pyłu i tumany skłębionych woni opływają ludzi i rzeczy.

Z po za głów ludzkich patrzą na plac wielkie, kwadratowe, głupowate ślepie kamienic, a z nad ich ciemion cynkowych i ceglanych wpija się z góry w robaczywą miazgę ziemską ostre jak nóż, płomieniste spojrzenie słońca.

Patrzą z innymi na ruch rynku z wysokości swego wózka dwaj bracia Nogale: Kuba i Wojtek, z nogami wywieszonemi po za drabinki, z fajeczkami w zębach, cykając śliną od czasu

do czasu. Czeka ją tu na trzeciego, stryjecznego Jaśka, któremu pilnują konia i wózka. Po sprzedaniu śliw, jakie na targ przywieźli, poszedł do „bursy“ zanieść synom Kuby, Wojtka i swojemu przywieziony chleb i masło, z przypomnieniem, aby ich darmo nie jedli.

Milczą i patrzą. Ubrani w grube, brudne kożusze, kożuszki bez rękawów, białe, obcisłe spodnie i rude kapelusze, świecące od tłustości, wyglądają obaj z pozoru na niezdarnych i bezmyślnych chamów. Kuba podobny jest do małpy, Wojtek do koguta. Ale w tych dwu grubo wyciosanych mordach jest jedna rzecz szczególna: oczy. Pali się w nich mocno płomyk życia i pisze jakiś ostry, dobitny, wzbierający po za nie, jakby nieśmiertelny wyraz... Niby drapieżność czającego się do skoku zwierza, niby uwagę wysłanej na zwiady forpoczty lub nateżone skupienie badacza, wczytującego się z mozołem w zawile karty otwartej księgi życia. Coś mądrego i okrutnego zarazem. Oschła powaga borykającego się z wrogim bytem samolubstwa, zacięcie się uporu niby w myśliwym wśród nieznannej gęstwiny. Mózg i zmysły tych dwu obdartusów zdają się bezustannie kombinować i tropić, podpatrywać cudze zasadzki i gotować własne. Ich dusze zdają się dyszeć hasłem walki na śmierć i życie, rozdzielającym w oczach robaka ludzkiego, dla śmiesznie drobnych stawek, wszechświat na dwie wrogie połowy: „ja — i reszta“, — z których pierwsza jak pyłek mała i marna, do ostatniego tchu olbrzymiej przewadze tamtej

przeciwstawia swą zaciśniętą pięść i wyszczerzone zęby.

...I przypomina się kłusownik, jak rzucając rękawicę tysiącu niebezpieczeństw, spina się nad przepaściami z jednego stromego głazu na drugi za kozicą...

...I przypomina się wilk zziębnięty i głodny, jak podtuliwszy ogon, samotnie, w noc zimową patrzy z śnieżnego wzgórza w dolinę, w czerwone okienka ludzkich siedzib...

...I przypomina się sęp, wypatrujący z zimnych wyżyn nieba łup wśród pasących się na halach owiec...

...I poczyną się przechodzić myślą dzieje rodu Nogalów, przeszłe, bieżące, przyszłe: dzieje ich dziada, opryszka, ubitego kulami żandarmów — ojca, co żył i dorabiał się z kradzieży drzewa w cudzych lasach — ich samych, nie znających innego celu w życiu, jak tanio nabyć, drogo sprzedać, złupić do żywego mięsa, zedrzyć bez litości —: ich dzieci wreszcie, które chodzą do szkoły...

ŚMIERĆ.

...Uciekać?... Po co?!... Dlatego, że mogę zostać uwięzionym?!... A gdyby i skazanym na śmierć!... Przecież jej chciałem! Sam jej chciałem! Dlatego się bił.

...Z was nikt tego nie przeniknął!... Nikt?... nawet ty?!... Jacy wyście ślepi. Po cóżbym szukał zwady i po co wyzywał człowieka, który strzela jak... Po co?!...

...Chciałem umrzeć! Szedłem na śmierć! Chciałem, aby mnie ktoś zabił — ktoś inny — nie ja sam, tylko nie ja...

...Wy nie widzieliście tego?... Ty nie odgadłeś nigdy, co się w mej duszy dzieje?... Naturalnie; wy się lękacie śmierci.

...Jakie ja przeszedłem męki!... Chcieć umrzeć!... ze wszystkich sił chcieć!... — nie czując lęku przed bólem, ani przed agonią, ani przed mrokami nicości — a mieć ręce skrępowane pajęczyną dumy, która jak wąż ukryty w wnętrznościach syczy: „nie tak!... nie w ten sposób!... nie tak jak zginął wuj twój... matka...”

...Ach!... samemu sobie życie wydzierać, gdy inni, byle żyć, drugich zabijać gotowi — to przecież potworne!... ohydne!... nikczemne!...

...Dlatego też milczałem przed wami, grając ze wszystkich sił wam tak drogą, mnie tak wstrętną komedię życia w tej jedynie nadziei, że w końcu przecież przypadek mnie oswobodzi.. Zameczałem się hulankami, szukając w nich zamaskowanej zguby, dosiadałem dzikich koni i spinałem się na urwiska, nie aby odnieść tryumf, lecz aby w nim uledz... A kiedyście wy podziwiali moją odwagę i zimną krew, ja jęczałem z rozpaczą nad moją nędzą, zawieszony pomiędzy dwoma ogromami: życiem i śmiercią, — które odpychały mnie od siebie zarówno. Ludzie przywiązani do życia i lękający się śmierci, setkami, tysiącami ginęli w pożarach, epidemiach, wojnach, katastrofach kolejowych, tonęli z rozbitymi statkami, padali od kuli zbłąkanej na polowaniu, — ale żadna z tych kul, żaden z tych pożarów ani wykolejeń, nie zdarzyły się tam, gdzie ja byłem, gdzie ich nieraz szukał... Nawet to co wyzwała ostatniego z żebraków: kawał sznura lub nóż — mnie było wzbronionem, bo wzbraniała mi tego głupia duma i śmieszny smak, bo pragnąłem umrzeć „z honorem!...” to znaczy umrzeć jak wół w rzeźalni, opierający się rzeźnikom, jak łotr na szubienicy, szamocący się z katem, — jak wy!...

...Nareszcie nawija mi się ten człowiek. Awanturnik — pojedyńkowiec — głośny strzelec... Co za szczęście!... W tydzień po poznaniu już traktowałem go w sposób, który każdego innego zmusiłby do rzucenia mi rękawiczką w twarz!... Ale nademną zawisło fatum. Człowiek, który

bił się w życiu pięćdziesiąt razy i miał wypisane na czole słowa: „z drogi!... ja miałem ziarnko pieprzu o dwadzieścia kroków!“ — przyjął moje grubjaństwo śmiechem litości, jakby były psotami złe wychowanego dziecka, jak wyniosły półbożek, drwiący z naiwnego szamotania się niższej, śmiertelnej istoty, nieświadomej niebezpieczeństw, z jakimi igra. Ach! miałem ochotę z pięścią rzucić się na tego błazna i policzkami zmusić go, aby ze mną uczynił to, co należało do jego fachu, aby mnie zabił.

...Lecz w końcu przyszło przecie do pojedynku, mimo waszych przekornych perswazyj i zabiegów. Zdobyłem się na nadludzkie wysiłki, aby postawić na swoim. Ba! taka sposobność!... Człowiek, który nie chybiał!...

...I cóż?!... Kula tego mistrza gwizdnęła mi koło ucha, a mój strzał, dany na oślep, w powietrze, ręką, która pierwszy raz w życiu strzelała do człowieka, dziurawi mu łeb!...

...I nie dosyć, że żyję!... Nie dosyć, że zostałem mordercą!... ty każesz mi jeszcze popełnić podłość!... każesz się kryć!... uciekać!!.. a ja nie mam już sił nawet — milczeć...

.

PRZESZKODA.

Męczyła się w domu rodziców najokropniej. Była tu więźniem i sługą. Nie od świtu do nocy prócz garnków, cebrzyków, szczotek, żelazka, igły, pomyj, brudnej bielizny, gderania matki i klątw ojcowskich. I nigdy grosza na strojny gałganek! nigdy na krok wyjść inaczej jak z koszykiem!... W siedemnastym roku życia!...

Koleżanka jej ze szkoły i przyjaciółka była „na swoim chlebie“ od roku. Spotykały się rano w mieście, ukradkiem. Jedna, okutana w starą chustkę matki, żaliła się na swój los gorzko, druga, wystrojona i uśmiechnięta, pełna tego sztucznego życia, jakie wytwarza w kobiecie rozpusta, zanim ją zniszczy, wychwalała swój pod niebiosą. Dwie minuty rozmowy wystarczały im, by się zrozumieć i odczuć. Po kilku tygodniach tych spotkań Adela bez namów widziała jedno tylko szczęście, to, jakiego używała Stefka — i jeden tylko sposób zdobycia go, zostać kokotką.

Nie było w tem nic zmysłów, nie prócz żądzy wolności i strojenia się w barwne piórka. Mężczyzna, miłość, rozkosz — nie myślała o tem wcale; choć z drugiej strony występki nie budził w niej żadnego wstrętu, uosobiony w przyjaciółce, która nie uskarżała się nań wcale.

I była co dzień bliższą wstąpienia w jej ślady, brakło tylko między niemi stanowczego słowa.

Zamieniły je bez wzruszenia.

— Kiedy mnie weźmiesz do swojej starej?

— Kiedy zechcesz.

— Jutro.

— Tak odrazu?... Idźże dziecko; nie można.

— Dlaczego?

— Nie przyjmie cię.

— Czemu?!... Mówiłaś przecie...

„Czemu!...“ Jaki to głuptas.

Obejrzawszy się, rzuciła chichocząc dwa wyrazy tej dziewczynie z minką prawie dziewczęcą, czystej jeszcze i dlatego niemogącej od razu zanurzyć się w błocie, chociaż w nie szła bez wahania.

— To cóż ja zrobię!... — jęknęła Adela strapiiona.

Tamta parsknęła śmiechem, ubawiona troską: zbyt jednak była przezorną, aby się w to mieszać...

— To już twoja rzecz, moja kochana.

Adela odeszła zasepiona, jak gdyby świat zamykał przed nią swe wrota. Przez kilka dni łamała sobie głowę: jak?...

Naraz klasnęła w dłonie z radości.

Napisała długi, gorący list do kuzyna, młodego wojskowego, który bawiąc u nich na świętach przed rokiem, natarczywie się do niej umizgał. Nie zrozumiała go wtenczas i odepehnęła. Napisała teraz, że kocha go do szaleństwa i żyć

bez niego nie może, żeby przyjechał natychmiast pod jakim bądź pozorem...

Przybył bez urlopu, ryzykując wszystko, dumny z zwycięstwa.

Rozstawał się z nią rozczulony — jak z ofiarą, wdzięczny — jak z kochanką. Całą drogę z powrotem o niej marzył, przeglądał się w lusterku, układał w głowie list, jaki do niej napisze i rzucał na kobiety, podkrecając wężem, wzrokiem szatana, któremu oprzeć się nie sposób.

WICHRZYCIEL.

...Wszystko świeci, śmieje się, śpiewa, krzyczy, pachnie, pała, łśni!..

...Wszystko jest tak kolorowe jak obrazki dla dzieci; tak szalenie wesołe, jak dziewczyna napół upita winem, miłością do reszty; tak oślepiająco jasne jak ranne słońce w chwili przebudzenia; tak piękne jak sztuka, a tak rozkoszne i słodkie jak usta, których się pragnie.

...Ile to już razy było!...

...Przezysty ton nieba, bez śladu chmurki, przypomina turkusy... Nie... niezapominajki. I to nie.. Przypomina mi duże, jasne, wilgotne oczy czternastoletniej dziewczynki, która umarła tej zimy na suchoty a patrzyła na świat z taką niewysłowioną tęsknotą...

...Niezmierna błogość zalewa przestrzeń. Zdaje się ona wnikać w istoty i rzeczy niby pieszczota cudnego snu, niby subtelny pocałunek niewidzialnej jakiejś, dobrej nad wszystko mocy.

...Po płaskim grzbiecie rzeki ślizga się powiew chłodu, ostatni, przedśmiertny oddech zimy, biegnącej umrzeć w pustce górskich szczytów po przegranym pojedynku z słońcem.

...W szkle fal drugi świat. Na środku wody rybak manewruje łódką jak wierzchowcem. Ja-

skółki, niby małe, skrzydlate dyabełki w granatowych frakach i kamizelkach z białej piki wykreślają mu nad głową czarne błyskawice swego lotu.

...Para młodych ludzi idzie brzegiem. Trzymają się pod rękę, całują się oczyma i ramionami, śmieją się do siebie w rozkosznym zapamiętaniu. Pod stopy im się ściele weselnym kobiercem, spowija ich w girlandy kwiecia, śpiewa ich duszom, ich ciałom precudne hymny szczęścia święty czar wiosny.

...Na stoku wybrzeża leży wśród trawy w niedbałych pozach dwu wyrostków, grzejąc się do słońca. Stara, obdarta, w zrudziałej chustce na rozczochranych włosach kobieta zrzędzi nad głową jednego z nich:

— Jasiu! wróć się do majstra, mówię ci.

— Do tego psubrata?... Niech mu kto inny za mnie kości łamie. Trafi on na swego.

Drugi mileczy jak sfinks.

Spór matki z synem trwa już z godzinę, potrwa drugą. Stara lamentuje, biada, udaje płacz, to znów płacze naprawdę, przekłada, strofuje, prosi, grozi, przeklina, tysiącem zdyskredytowanych oddawna sposobów usiłuje dokonać niemożliwej sztuki: przelania starych myśli w młodą głowę.

Chłopiec zamienił się wreszcie w kamień. Nie odpowiada wcale. Szkoda słów. Nie ma on zresztą tylu argumentów co matka, za to ma więcej woli, tej woli bez wahań, nieustraszonej woli młodości, gotowej na wszelki bój, bez wzglę-

du na to, czem on się skończyć może. Skubiąc trawę, czeka, rychło mówiącej tchu zbraknie.

Przyjaciół milczy jak sfinks.

— Jasiu! na rany boskie!... czyś ty oszalał, czy co?!... Na kwartał przed wypisem od majstra uciekać!... Lato przeleci, zima przyjdzie, co będziesz robił?!... Co ty masz w głowie?!... Tyś nie był taki... Ty się nie daj buntować!...

Jasiu, pełen wiary w przyszłość, w energię własną, w chimere sprawiedliwości, podnosi czoło, draśnięty do żywego w swej męskiej dumie. Przyjaciół-sfinks budzi się z swego marmurowego chłodu i głosem zaczepionego olbrzyma rzuca, marszcząc się groźnie:

— A któż to tu kogo buntuje?!...

Jednakże sprawa stanęła teraz jasno. Jasiu to anioł — ale tamten drugi jest łotrem z pod ciemnej gwiazdy, wysłańcem szatana. On przyczyną wszystkiego! Należy rozerwać tę przyjaźń.

Wybucho kłótnia!... Karczemna bójka na słowa ciężkie i plugawe, któremi miast kamieni i grud błota miotają na się obie strony z brutalną furją wrogów odwiecznych: stara jak świat walka młodych z starymi, młodych o wolność, o niczem niekrepowaną swobodę skrzydeł, starych o „ład“, o zagrożoną powagę jarzma, które w kark gniecie, lecz daje prawo do żłobu.

A z góry patrzy słońce — arcyświatło...

Patrzy na ten zaciekły bój pyłków swem mądrym, ojcowskim, strasliwym okiem, budząc zmartwiałe moce do nowych prac i starć, nie-

cać na całym globie, może na globów milionach, bunt odradzającego się życia...

Ódwieczny podżegacz i agitator!... co zbroi myśliwca w oszczep a zwierzę w rogi, — rozkazuje raz jeszcze zamarzyć rzekom zerwać okowy z lodu, wiatrom rozegnać chmury; podżega drzemiące w ziemi nasionka, by rozwalaly miazgę piasku i błota i wystrzelały nad nią zwyciężkim pióropuszem młodej zieleni; buntuje ptaki, aby leciały w odległe kraje kochać się, śpiewać i budować gniazda; podszeptuje motylom szaloną myśl spróbowania skrzydeł, — a w mięsie człowieczem budzi uspięne chuci, a w mózgu człowieczym rozpala myśli nowe, a w całym, niezliczonym ludzkim mrowiu zażega odwieczne, jak burza groźne i znikome żądze wyzwolenia, żądze szczęścia, żądze zmian...

I leci wszystko za złudą, wierząc w zmysłony cel — jedna tylko myśl zmęczona opuszcza, zwiesiwszy skrzydła, wirujący z pijanym hukiem karuzel życia i rzuca niebu pytanie...

I zdaje się jej, że słyszy, jak wżgardliwy i szyderyczy pomruk grzmotu odpowiada z wysokości twardo:

— Ruszaj się z innymi robaku — nim zgnijesz!

SAMOBÓJSTWO.

Już pod sam koniec kolacyi, gdy ukazała się taca z złocistym samowarem i filiżanki, rzucił ktoś na biały obrus stołu, pełen talerzy, z czystej potrzeby odezwania się zapewne, brukową wiadomośćkę o tem samobójstwie chłopca...

Samobójstwo!... Pochwycono temat skwapliwie. Po wyczerpaniu wesołych materij nowina z zabarwieniem tragicznem obiecywała tym miészczuchom, ocieźiałym z sytości i znudzonym tuzinkowemi conceptami, jakie odgrzewali od dwu godzin, — piekący smaczek sera po uczcie. Plotka obesza zaraz stół, niby półmisek z świeżem daniem. Podawano ją sobie, dzielono się nią, ogryzano ją w podobny zupełnie sposób, jak chwilę przedtem smaźone kurczęta.

Najbardziej jednak deser smakował damom, które posypały go natychmiast waniliowym cukrem swych westchnień. Lube egoistki — z namiętnością urodzonych strojnisz czyniące z wszystkiego dla główek swych i biustów tło i ramy, poczęły wśród czułych min i łzawych spojrzeń ubierać się w sentymentalizm, jak ubierają się we wszystko, z czem im do twarzy; w ów płytki, zmanierowany sentymentalizm sroczek salonowych, w którym jest dużo naiwności, trochę

kłamstwa, czasem nawet coś tam serca, a zawsze najwięcej wdzięku, wszystko razem złożone w banalną, lecz miłą całość i podobne do o-wych kokieteryjnych cacek, jakie z piór, wstążek, paciorków i kwiatów wyczarowują na wiosnę palce zakochanej modniarki.

— Zabijać się! W tak młodym wieku!... Piętnaście lat — dzieciak jeszcze!... Co za nieszczęście!...

Nie znajdowały słów dość bolesnych, dźwięków dość łzawych na okazanie swego współczucia biedakowi, który urozmaicił im swą śmiercią duchowe *menu* tej biesiady wybornej. Poczęły prząść jedna przez drugą z pajęczej tkanki swego szczebiotu elegię na cześć nieszczęśliwego. Domyślały się jakiejś tragedji: przesładowań, cierpień, mąk, całego zbiegu okrutnych ciosów, co zwarzyć musiały tę roślinkę w zaraniu życia, kiedy się jeszcze patrzy na świat tak różowo. Nieletni samobójca urósł na bohatera poematu, beatyfikowany tyłoma parami małych, gadatliwych, ślicznych, porcelanowych usteczek...

Mężczyźni potakiwali damom, głównie przez rycerskość, bo co ich tam w gruncie rzeczy mógł obchodzić los jakiegoś niedołęgi, który sam sobie rozwała czaszkę, gdy wszyscy inni z takim trudem chronią łby własne przed ciosami bliźnich. Intryżki biurowe, towarzyskie i polityczne, widoki na dobry interes a choćby na wygraną w karty lub przyzwoite śniadanko, obchodziły ich więcej od zagadek psychologicznych, których rozwiązywanie zostawia się z pobłażliwym uśmie-

chem entuzyazmowi pensyonarek i młodych akademików. Byli jednak dość dobrze wychowani, by nie odsłaniać swych myśli. Oburzali się owszem na niedostatki urządzeń społecznych, na surowość opiekunów i wychowawców, na brak „ochrony człowieka“, na to wszystko, co łamać zwykło przedwcześnie „zbyt wrażliwe moze, lecz właśnie dlatego bardziej szlachetne indywidualności“. Rezonery wystylizowywali te oklepanki mniej lub więcej poprawnie, reszta uprzejmie potakiwała. Nastrój stawał się wysoce filantropijnym. Po wypróżnieniu talerzy i szklanek całe grono poczęło naraz żyć sercem, samem sercem, oddaniem cichym bólom maluczkich.

To też jak ostrze żelaza po szkłe zgrzytnęły naraz zimne słowa młodego lekarza:

— Protestuję przeciwko obwinianiu społeczeństwa o to samobójstwo, jak i o każde inne. Chłopiec był melancholikiem jak wszyscy samobójcy. Nie zabiła go „złość ludzka“, ale szal.

Rozległy się ze wszystkich stron głosy zddiwienia i żywego protestu, dziesiątki zaprzeczeń, pytań i wyzwzań na dysputę, nadzwyczaj głęboka i zużyta sprzeczka o to, czy samobójstwo jest wielkim czynem — czy małym, objawem odwagi — czy tchórzostwa, a nadewszystko, czy jest szalem. Wszyscy samobójcy waryatami?... Ależ to być nie może. Gdzież w takim razie poezya?... dramat?... walki dusz?... szamotanie się charakterów?... Gdzie literatura całego świata?... wzruszające heroiny i bohaterowie?... Gdzie grzech,

napiętnowany przez religię?... Ależ to kompletny przewrót pojęć!...

Młody lekarz jednakże, z dyplomem, na którym atrament jeszcze nie zasechł, w rękę, zachował kamienną niewzruszoność fachowca, mającego za sobą „ostatnie wyniki nauki“.

Uznał ktoś w końcu kompetencyę rzeczoznawcy gospodarskiem:

— Dajcież-no pokój... Konsyliarz przecie w tych rzeczach biegleszy niż my wszyscy...

Natychmiast stanęli po stronie konsyliarza ojcowie i matki, mający córki na wydaniu, wraz z córkami, rzecz prosta — to znaczy większość.

Waryat!... Naturalnie, że waryat! Odbierać sobie życie mogą tylko waryaci. Bo przecież żeby się tam człowiekowi niewiedzieć jak źle działo, to nie wynika z tego jeszcze, ażeby zaraz...

Tak jest! Nie bohater — nie męczennik ani ofiara, — ale po prostu bzik, narwaniec, którym nie ma się co dłużej zajmować. Fiksat. Konsyliarz ma zupełną słuszość. To zmienia postać rzeczy! To wyklucza tragedye!...

— Dlaczego zmienia?... dlaczego wyklucza?... Przecież zdaje mi się, że przez to nie był ani trochę mniej nieszczęśliwym, czy go do takiej rozpaczki doprowadziła złość ludzi, czy złość przyrody... choroba... — przerywa nagle gwar szederstw młoda dziewczyna.

— Ale w tej samej chwili staje cała w łunie, przerażona zuchwalstwem swej opozycyi. A może powiedziała niedorzeczność?... Serce bije jej okropnie!... Salon zaczyna kołysać się do-

koła niej jak pijany, w oczach migocą jakieś kręgi... Nie słyszy nic, nie widzi nic, czuje jednak, że wszyscy na nią patrzą, że wszyscy się uśmiechają, że mężczyźni pozerają ją łakomym wzrokiem, który z niej suknie zdiera, jadowite oczy kobiet zaś syczą:

— A ta gąska czego się tu wtrąca!...

Po chwili spostrzegła, że ktoś obok niej usiadł.

— Jak pani było cudownie z tym zapałem — szepcze młody lekarz, patrząc na nią jak oni wszyscy, paląc się w zapachu, bijącym od jej sukni, od jej włosów, od jej młodej, świeżej, dziewiczej szyjki.

Ona staje znowu w pasach, ogromnie zawstydzona. Lecz równocześnie upaja ją odkrycie, że przecież ktoś jeden ją może zrozumiał i podziela jej zdanie. Ten ktoś staje się naraz dla niej bardzo blizkim.

— Bo widzi pan... — szepcze drżącym głosem, patrząc nań tak, jakby go już kochała. — Ja miałam przyjaciółkę, która po stracie narzeczonego...

Matki innych panien na wydaniu myślą, trochę wściekłe na widok wyrazu twarzy lekarza:

— Głupiec. Ale tej małej nie brak sprytu...

KLUSKI.

...Przebywszy z ośmdziesiąt schodów stromych, sękatych i trzeszczących, stanąłem wreszcie na szczycie — u poddasza artystów.

Na drzwiach wchodowych, z szyderczą myślą czy bezmyślnie, nabazgrany asfaltem i kredą Ropsowski kościotrup w dziurawym fraku — eleganckim ruchem złożonego na płask klaka zapraszał do wnętrza. Otaczał go i zasnuwał niby koronkową firanką, w deseń pisma stu różnych rąk, cały las przygodnych korespondencyj, w rodzaju:

„wychodzę za monetą — klucz gdzie zwykle“

„jest kupiec! czekaj na mnie wieczór!“

„chyba sobie kpisz — byłam z rana trzy razy!“

„wyjechał! pożegnaj się z sakpaltem“

i t. d. i t. d.

Cała historya poufna artystycznych rozkoszy i nędzy artystycznej na wysokościach, jakie zamieszkują tylko ptaki, koty, malarze i świeżo prana bielizna.

Naglony zimnem, które nie pozwoliło mi odczytać wszystkiego, zapukałem w drzwi delikatnie, potem mocniej, potem z całej siły, wreszcie zacząłem w nie bić laską, pięścią, obcasem, wiedząc napewno, że obaj gospodarze, malarz

i rzeźbiarz, są, muszą być w domu — a nie chcąc dłużej marznąć w sieni przy 20 stopniach Celsjusza.

Wśród stłumionego huku, dolatującego mnie z za ścian czy z pod podłogi, który głuszyć musiał moje stukanie, rozległ się naraz trzask klucza w zamku drzwi wewnętrznych, dzielących pracownię od przedpokoju — i wściekłe:

— Kto tam?!...

— To ja!... B.! Dobry wieczór!...

— Ach!... to pan?... Dobry wieczór... Przepraszam najmocniej, że... ale...

I po za drzwiami zewnętrznymi, których nie otwierano ciągle, najwyraźniejszy targ dwu głosów, trochę zaledwie znizonych: „puścić go?“ — „nie puszczaj“ — „jakże go odprawię?“ — „jak bądź“ — „obrazi się“ — „przecież widzisz“ — „ale cóż powiedzieć?...“ — „powiedz, że... że zamek popsuty... albo... że się kapiemy...“.

Aby im nie dać czasu skłamać, rzuciłem okrzyk, którego treść powinna była zrobić wyłom w murze, jeśliby już nie było żadnego innego wejścia:

— Przychodzę z obstalunkiem!

Teraz zaczęły się szepty, wreszcie otwarto drzwi. Przebyłem ciemny przedpokój, potykając się co krok na jakichś twardych i kanciastych bryłach, wśród uprzejmych przeproszeń gospodarza, który objaśniał z miłą swobodą: „to nie, to szaflik z gliną“ — „ach! rura od pieca, bestya stróż zapomniał zabrać...“ — „walizka!... nie bój się pan, nie w niej nie ma, nawet dna“ —

i znalazłem się pod oszklonym sufitem pracowni, ukazującym w górze ołowiane, beznadziejne niebo grudnia. Malarskie graty, rulony papieru, blejtramy, gipsy i glina, szmatami owiązana, zawałały przestrzeń, wśród której parę brudnych, pu-
stych sztalug sterczało w górę ponuro jak gilotyny.

Wyciągnąłem skostniałą rękę do przywitania, lecz zdaje mi się, że obaj przyjaciele, mimo bardzo ugrzecznionych podrygów, starają się trzymać odemnie jak najdalej. Jeden jakby usiłował zakryć sobą stół, drugi zasłaniał, lecz niedokładnie, stojący opodal piecyk żelazny, równocześnie jednak ruchy obudwu zdradzały, że nade wszystko radziby byli schować sami siebie. Przetarłszy szkła, spojrzałem po pracowni i zrozumiałem.

Na dużym rajsbrocie, zajmującym całą powierzchnię stołu, leżały jak na stolnicy szeregiem, grube na palec kluski z śniadego ciasta i mak w papierku. Zakasane po łokieć i białe od mąki ręce malarza wskazywały niezbitcie, czy-
jem to dziełem były te potworne wyroby kucharskie, na których widok zdawało mi się, że apetyt zamiera we mnie na zawsze. Cylinder, dziurawa burka i pąsowe trykoty stanowiły strój malarza. Tamten drugi zaś, spocony mimo zimna, skubiący bródkę nerwowo i odgarniający z czoła kosmyki mokrych włosów, przebrany był — wiem, że mi nikt nie uwierzy — za kobietę: w kraciastą spódnicę, kaftan i chustkę na krzyż przez piersi związaną. Przy tym kostyumie i przy

hiszpance — wystawcie sobie: papieros w ustach i zardzewiały pałasz ułański w prawej ręce!... Rozrębywał nim oczywiście przed chwilą starą kanapę, której poduszki, wypróznione z trawy morskiej, na sieczkę zmielonej użyciem, i potrzaśkane na sztuki drewniane rusztowanie tworzyły u stóp jego dziko nastroszoną kupę paliwa, tuż przy żelaznym piecyku, pochłaniającym właśnie pierwszy ładunek drzewa.

— Pozowałem Michałowi do draperyi — blagował, śmiejąc się sztucznie. — Marny model... Co?! Tyle że tani, no i miększy od manekina...

Jakżem sobie w duchu nie wyrzuciał!... Jeden z znajomych opisał mi dziś właśnie ich rozpaczliwe położenie. Nie wychodzili z domu od tygodnia, sprzedawszy z siebie, po kawałku, całą dającą się spieniężyć garderobę, na opał i pożywienie. Dziś, w dzień wilii, groziła im po wyczerpaniu wszystkiego, śmierć z głodu i zimna. Koledzy — jedni nie mieli czem z nimi się podzielić, inni, którym się lepiej wiodło, trzymali się zdala od hołyszów. Golizna jest zaraźliwą jak wszelkie zło. Publiczność zaś oczekiwała arcydzieł, potem znajdują się nabywcy. — Zaklął mnie, aby ich ratować!...

A ja — od dwu dni!... noszę w pugilaresie czterdzieści guldenów zaliczki dla malarza na portret piórkiem (celował w takich), zwlekając z pójściem jedynie przez lenistwo, przez obawę tych pięciu piątr...

Widząc, że sięgam do kapelusza, zawołał malarz:

— Zostańmy w czapkach, jeżeli łaska... Jest tu cokolwiek zimno...

Ba! zimno było dyabelnie!

— I cóż wy tu do licha robicie, zamknęci tak na cztery kłódki? — zacząłem prosto z mostu.

— Gotujemy sobie wilię! — odrzekł z fantazją.

— Te kluski?!...

Wzięłem jedną w palce. Była twarda jak kamień.

— Ależ nie ugotujecie ich do samej północy!

— Oho!... To się pokaże!... Za godzinę najdalej będziemy się po nich oblizywać.

Czekała mnie w domu szwagra wilia, która stanowi coroczny popis siostry. Jakże mi się głupio zrobiło na widok tych klusek i tych, co tu po nich z taką pewnością oblizywać się mieli dzisiaj.

— Przychodzę w sprawie portretu Złotnickiego — wyrzekłem.

Na te słowa rzeźbiarz odwrócił się nieznacznie i poszedł poprawiać coś koło pieca, malarz zaś, aż dotąd bardzo serdeczny i wesoły, zachmużył się i spojrzał na mnie z podełba.

— To szkoda było pańskiej fatygi! — odparł wyniosłe, przybierając królewską pozę w swojej dziurawej burce i czerwonych, nieraz już czerwonawych trykotach.

Począłem przyjaźnie nalegać:

— Nie upierajcież się, proszę was... Czyżby wam na prawdę nic nie zależało na zarobieniu choćby i tych marnych ośmdziesięciu guldenów...

— Owszem. I wiele. Ale nie w ten sposób... — Poczem do przyjaciela:

— Mówiłem ci: portret tego infamisa Złotnickiego. Ja mam rysować jego portret!... Ja mam portretować to zwierzę!... Nie!... Tobym już chyba musiał sam sobie w oczy napluć...

— Ależ dlaczego?...

— Pan się pytasz: dlaczego?... Pan! pan?!

— No tak.... wiem... Jakaś tam stronnicza recenzja... Różnice zdań... Ot, zwykle historye ludzkie... Ale to przecie szło o kogo innego. Przeciwno panu osobiście Złotnicki nic nie zawinił...

— Więc cóż stąd?! Zawinił wobec jednego z moich kolegów! — i to mi wystarcza.

Spróbowałem sofistyki. „Pan przecież nie potrzebujesz zupełnie widzieć się z Złotnickim. Osoba Złotnickiego dla pana nie istnieje, tylko jego twarz. Portret zaś ma być robiony bez jego wiedzy, z fotografii, jako niespodzianka od rodziny. Pan nie potrzebujesz bynajmniej wiedzieć, kogo dostarczona fotografia przedstawia. Portret nie jest zresztą owacją artysty dla portretowanego, więc gdyby nawet Złotnicki i był — jak to pan twierdzi — infamisem, niech pan zrobi studyum „infamisa“... Nie potrzebujecie wreszcie studyum tego podpisywać swoim nazwiskiem, byleście z właściwą sobie maestryą...”

Parsknął śmiechem, aż na mnie uderzyło gorąco.

— A to mi dopiero satysfakcja!... — krzyknął. — Więc świństwo będzie mniejszem, je-

żeli je zrobię w sekrecie!... Nie żartuj pan, proszę, w tak wesoły sposób.

— Podjąłem się misyi, sądząc, że moim prośbom...

— I: argumentom!... Nie, drogi panie, niczym w tej sprawie.

I odwróciwszy się odemnie z takim impetem, aż poły burki rozwiały mu się u ramion niby podarte skrzydła olbrzymiego ptaka, począł z głośną do góry przemierzać wspaniałym krokiem nieliczne puste miejsca pomiędzy stolnicą a piecykiem, z którego ognistej paszczy nierozrąbana noga kanapy sterczała jak kość z gardzieli żarłocznego potworu.

Począłem ubolewać.

To głupia historia... „Żałuję, że się podjął. Wetknięto mi z całą wiarą w skutek połowę honorarium, jako zadatek, a nawet w razie targu o cenę...”

Malarz stanął i wpatrzył się we mnie z przerażeniem, jak człowiek, wystawiony na straszną próbę, z oburzeniem zarazem, jak ten, co pogardza niskością próby zadanej. Rzeźbiarz, przykucnąwszy pod piecem plecyma do nas, wpatrywał się nieruchomo w jego drzwiczki, cały zajęty garnkiem wody, która ani rusz nie chciała się zagotować i nogą kanapy, którą w miarę jak się upalała, popychał co chwila głębiej w żar. Z miejsca, gdzie siedziałem, omatulony chustką, ponad fałdami spodnicy, w krąg rozpostartemi na podłodze, robił całkowite wrażenie kobiety, krzątającej się około wieczerzy.

W tej chwili przyjaciel jego, wytrzymawszy mnie w ogniu błyskawic swego wzroku, cisnął mi w oczy dygocząc:

— Po co mi pan to mówisz?... Jak pan możesz traktować mnie w ten sposób?!... Czy nie dałem panu do zrozumienia dość wyraźnie, za co uważałbym sobie podjęcie się tej roboty? Czy pan nie czujesz, że dalsze propozycje czynione człowiekowi, który w pańskich oczach pali w piecu kanapę, aby nie zmarznąć w noc Bożego Narodzenia, są... są...

— Michał!... — mruknął z pod pieca rzeźbiarz tonem perswazyi.

Najniepotrzebniej się wtrącił. Nie byłem, nie mogłem być urażony wybuchem tego obdartusa, który posiadał wprawdzie w tej chwili do spółki z towarzyszem tylko jedną parę butów (oba z jednej nogi) i to dziurawych, jedną burkę jak sito i jeden kobiecy garnitur, lecz jakże po bohatersku w łachmanach swych stawiał czoło rzeczywistości, zaciśniętymi pięściami grożącej jego dumie.

— Panie Michale... Ja pana rozumiem... Ja pana doskonale rozumiem i przyznaję panu słusność!... Ale czyliż to raz w życiu zmuszeni jesteśmy składać haracz twardym warunkom egzystencyi wbrew temu, co...

— Twarde warunki egzystencyi!... Cudownie! To znaczy: Kto chce żyć dla ideału, nie powinien przedewszystkiem z głodu umrzeć. Więc służ sobie w pewnych godzinach ideałom, jakim ci się podoba, byleś w innych ubezpie-

czył swoje mięso od niewygód. Wszak nie potrzebuje wiedzieć lewica, co czyni prawica... Zapalmyż jedną świeczkę szatanowi a drugą niebiosom — bo tak pozwalają, bo tak nakazują czynić „twarde warunki egzystencji“... A! niech was najjaśniejsze z waszą moralnością!... Być może, że i ja kiedyś przyjmę ją za swoją z uniwersalną dewizą: „inaczej nie można“ na ustach; że i ja z czasem podzielę sobie życie na dwie połowy, z których jedna, urzędowa, będzie zakreślona czerwonym ołówkiem dla biografów, a druga zamazana starannie ręką przyjaciół, kochającej rodziny lub własną, zamknięta na siedm świętych pieczęci tajemnic prywatnego życia, które najbardziej szanować każą ci, co się o własne boją grzeszki. Lecz jeśli bym naprawdę udoskonalić się miał kiedyś w taki sposób, wówczas — czy widzisz pan to płótno?... (Tu szarpnął ręką za brzeg płachty posklejanych gazet i rozdarłszy ją, odsłonił od jednego razu ogromny blejtram, stojący pod ścianą). Jestto jedyny cel, dla którego znoszę czasem głód przez trzy dni z rzędu gwizdząc, w nadziei, że może zjem coś czwartego... Wówczas tedy podreę i wyrzucę na śmietnik tę szmatę, która mi dzisiaj zagraża drogę do zamówień Złotnickich, a wezmę się do kolorowania pikantnych fotografii aktorek i kokot, przeprosiwszy pana wpierw ze skruczą, że byłem dzisiaj taki niegrzeczny. I to jest ostatnie moje słowo w tej materii, tu, wobec tego bohomazu, który zacząć i skończyć wolno tylko czystej ręce, niesplamionej żadnymi kompromi-

sami z twardą egzystencją. Tak się przynajmniej zdaje mnie i kilku jeszcze takim samym jak ja waryatom.

...Siedziałem w milczeniu, skulony, spiorunowany, maluczki, wlepiając oczy w owo płótno, którem mnie — dobił...

Bo płótno to — o ironio!... — jest bohomazem rzeczywiście!... Jest nim, i pozostanie! Ma ono utrwaloną sławę pod tym względem u wszystkich, co je widzieli. Autor tej bazgralniny — mistrz w władaniu kredą i piórkiem — jest po prostu ślepy na barwy. Stworzył już przesłiczne rzeczy jako rysownik, nie wymalował jednak nigdy i nie wymaluje nic znośnego. Z tuszu i węgla umie on niemal kolor wyciskać — z farb robi na płótnie błoto. Ale on wierzy w swój obraz, widzi w nim arcydzieło i spodziewa się przewrotu w sztuce po tem, co złośliwi nazywają przewrotem w jego głowie.

Nie przypominam sobie już, jak się wymknąłem z *atelier*. Pamiętam tylko, że wychodząc, ujrzałem, jak malarz powrócił zapalczywie do lepienia klusek, a rzeźbiarz, podniósłszy się z pod pieca, przepyszny mi gościem bohatera z tragedji podał przyjacielowi prawicę. W kostyumie baby! z hiszpanką.

Zbiegłem ze schodów dyabelnie zdesperowany. Nie szło mi o samo fiasko mej wyprawy, ale o nich, o fatalną sytuację tych dwu zaciętych zuchów. Jeżeli mróz przez noc nie pofolguje, oni do jutra zmarzną na kość przy spopielałych zwłokach swej kanapy. A przytem te

kluski!... Płakać się chciało na ich wspomnienie. Jeżeli je zjedzą, pochorują się na pewne — jeżeli ich nie zjedzą, cóż będą dla Boga jedli?!...

Wtem wybiła szósta, godzina wili u siostry. Zdawało mi się, że jestem już pod drzwiami, słyszę gwar zebranych osób, czuję zapach sosny i świeczek, że nie mogąc się oprzeć pokusie naciskam guzik dzwonka...

Ale takich dwu waryatów zdołałoby wykołoić nie wiem kogo. Zamiast do szwagra na wilię, puściłem się galopem do najbliższego handlu z restauracją i wpadłem jak bomba prosto do kuchni.

— Macie coś odpowiedniego na wilię?

Wymieniono mi szereg dań.

— Dawać to wszystko — zawołałem.

— Po porcyi z każdego?

Co?!... Po porcyi?!... Dla tych dwu wygłodzonych żołądków, pustych jak Sahara?!... Po dwie porcye!... po cztery!!... po dziesięć!!!...

Zacząłem w obliczu miedzianych rondli i białych fartuchów giestykulować zupełnie jak mój malarz giestykulował chwilę temu przedemną i doświadczyłem krótkiego niby mgnienie oka złudzenia, że ubrany w jego podartą burkę i dziurawe trykoty, wypowiadam śmiertelny pojedynek wszystkim złym mocom świata. W chwili, kiedy dym doglądał, jak wybrane prowianty pakowano w wyłożony ciepłemi obrusami kosz, i wzbo-gacono o parę butelek, przebiegł mnie dreszczyk tryumfu, jak gdyby za mą sprawą wkraczało na ziemię w postaci tego kosza jasne królestwo

ideału. Posłałem także w ślad za tym koszem parę cetnarów węgla i narzędzia drzewa, oraz list tej treści:

„Ponieważ kluski bezwarunkowo udać się nie mogą, przyjmijcie w ich miejsce pewną ilość „przedmiotów jadalnych, zakupionych z kwoty, którą załączam jako zadatek na jakąkolwiek „Pańską pracę. Krocie życzeń! — B.“.

Nazajutrz odbieram odpowiedź pełną wybuchów wdzięczności, a zaraz po świętach, przez dwu posłańców, jako wyrównanie rachunku dar królewski! ów obraz!... ów bohomas!... umiłowane dzieło twórcy, cel jego życia, jego snów, pięć metrów w kwadrat, za które nikt mi nie da ani po guldenie za metr, których nie wypada zwracać autorowi, aby go nie obrazić, których nie zawieszę u siebie, bo nie mam na to miejsca a nie śmiem ofiarować żadnemu z muzeów, gdyżby mnie z pewnością ogłoszono tego samego dnia jeszcze waryatem...

Co z niem zrobić?!...

CZEMU ?

Nakoniec otwarł oczy, spojrział dokoła i zrozumiał, że żyje.

Leżał na trawie. Jakiś pan w cylindrze, kłęczący nad nim, przemawiał do niego i groził palcem po ojcowsku. Dokoła pierścień twarzy ludzkich i wielkich, ciekawych, błyszczących, natarczywych oczu, tych dziwnych narzędzi, co umieją ranić i pieścić z oddalenia.

— No! podziękuj Bogu a potem panu doktorowi, że jeszcze dychasz — dolatuje go głos jakby z bardzo daleka.

Chłopiec kaszląc i wykrztuszając z ust piasek, machinalnie dziękuje. W uszach jego i głowie huczy, piersi go bolą, zimno mu; te mnóstwo spojrzeń sprawiają mu przykrość, mówiąc aż nadto wyraźnie, że żyje, żyje w rzeczy samej... Nie udało się więc.

A w dali pobłyskuje płynąca z cichym pluskiem rzeka.

— I czemuś ty to zrobił, nieszczęsne dziecko? Czemuś do wody skakał?... — pyta pan w cylindrze, przyjmując gościnnie tem pytaniem na samym progu życia wydartą śmierci ofiarę, aby wyzyskać moment psychologiczny.

Wszystkie twarze, oczy, myśli powtarzają: czemu?...

Czemu!... Czyż wiedział?... Skoczył, żeby... no żeby...

— Chciałem się utopić.

— Bój się Boga!... A wiesz ty, że to grzech śmiertelny?!... najcięższa z zbrodni?!... Nikt nie ma prawa zabijać siebie ani drugich. Życie nasze nie jest naszą własnością, nie wolno nam z niem czynić, co się podoba, ale mamy je szanować i użyć go na dobre.

Mówił dość długo i bardzo pięknie o tym „największym z skarbów“, o życiu. Następnie wrócił do badania:

— Może cię kto bił? dokuczał?... Możesz się bał za co kary?... albo miałeś jakie zmartwienie?... żal?... Powiedz, przyznaj się...

Nie, nie miał nic podobnego do wyznania.

— Więc co cię mogło popchnąć do takiego strasznego kroku?!... Nikt przecie nie odbiera sobie życia dla zabawki, bez żadnego powodu... Coś cię musiało do tego skłonić.

Chłopiec wyteżył wszystkie siły swej ogłuszonej wypadkiem głowy i szepnął:

— Na świecie jest tak źle... tak smutno...

Szmer przebiegł ciżbę gapiów.

— Złe?!... smutno?!... Fe, wstydź się mówić coś podobnego w twoim wieku. Tego nawet starzy ludzie nie utrzymują...

I począł przed nim kreślić z zapałem, w uroczych barwach, piękno i dobroć życia, podniecany potakiwaniem słuchaczy i własną wymową.

Wsiadając z chłopcem w dorózkę, by odwieźć osłabłego do szpitala, zakończył budującą scenę:

— Przymknij mi, że nigdy, ale to nigdy więcej, cokolwiekby cię spotkało, nie pomyślisz nawet o takim szaleństwie, by sobie życie odbierać... Przymkniesz?...

— Przymknę.

*

W uśmiechu tego dziecka, jakim dziękowało za objawy wygórowanej troskliwości zakonnic, usiłujących mu okazać, że życie jest dobre, że ludzie nie są tak źli i głupi, jak się wydają, był jednak ledwie dostrzegalny cień... mały, jak owa chmurka na turkusowem tle nieba, co każdej chwili w burzę urósć gotowa...

Uśmiech ten szeptał:

— A jednak na świecie jest źle i smutno.

Jak tęsknota za ojczyzną przybyszów z daleka, raz po raz osnuwała jego myśli zaduma, wyprowadzając duszę z zamętu tego, co ją otaczało, i wiodąc na stare znajome, przesiąknięte łzami i pełne westchnień ścieżki melancholii.

Co w nim gasiło od najwcześniejszego dzieciństwa ciekawość i pragnienie życiowego zgiełku, przykuwające spiżowemi klamrami do rozkoszy i bólów egzystencji tyle istot?... Co w nim tłumilo najsilniejszy z popędów, skreconą niaby świder stalowy do druzgotania skał, ich sumę, ów ślepy, wyzywająco gwałtowny upór istnienia, którym każda mikroskopijna cząstka ciała naszego tętni namiętnie, bijąc się pod jego wpływem

zaciekle o byt z sąsiednią, i dzięki którego szalonemu, żywiołowemu parciu jedynie — my, wątle zlepki mięsa i nerwów, byliśmy w stanie ostać się przy życiu lat miliony, powtarzając z pokolenia w pokolenie z równą zaciekłością tę walkę, wśród bezmiaru wiszących nad nami niebezpieczeństw. Co odwodziło uczucia tego dziecka od uroków bytu ku czarnym głębiom zniechęceń i żalów?... Jaki złośliwy robak wgryźć mu się mógł w to kościane pudełko, z którego pochodzą wszystkie czyny nasze, a które osłania mózgi kretynów i gieniuszów, niewolników i zdobywców?

Dlaczego malec, po utracie rodziców — czyż mało dzieci ten sam gorzki los spotyka? — i wychowany wśród obcych, stronił zawsze od innych dzieci, szukał samotności, jakby instynktem wiedziony najchętniej biegł na cmentarz, jak gdyby wśród mogił lepiej mu było niż między żyjącymi, jak gdyby świat umarłych był mu bliższym.

Trumna, pogrzeb, grób, z dziwną siłą pociągały jego uwagę. Sylabizując napisy na płytach grobowców i krzyżach, uczył się czytać, jak inni na uciesznych bajeczkach i piosnkach figlarnych, a wtajemniczając się w historię zmarłych, rozmawiał się w obcowaniu z nimi, tęsknił do spędzanych z nimi chwil, prawie im zazdrościł...

Był to nieuświadomiony jeszcze a ciągle rosnący zachwyty nad śmiercią, jakby nad wyższym jakimś, doskonalszym i szczęśliwszym nad wszystko, co życie dać może, stanem, postępujące samozatrucie duszy słabej, nadczułej a opuszczonej. wstrę-

tem do grubych i zgiełkliwych form bytu, do jego kłamstw, walk i wysiłków, i tęsknotą za usunięciem się w ciszę, która niby szept słodki najbardziej uroczej z syren zwolna ale bez przerwy wiodła go ku jedynej bramie wyzwolenia.

Rozmowy i książki zapoznały go potem bliżej z tym gwałtem ponurym i ohydny, jakim jest samobójstwo. Odtąd nie istniał dlań ciekawszy i bardziej przykuwający przedmiot. Powracał do niego jak najczęściej, wyszukiwał i zakreślał ustępy tej treści w gazetach, książkach. odczytywał je bez końca i innym zalecał.

Aż przesiąkła temi obrazami myśl o śmierci. zaczęła potraćać o jego wolę. Budząca się energia chłopca wstąpić musiała na te same manowce, po których uczucia dziecka błądziły od dawna.

Począł zwierzać się towarzyszącom z swych upodobań i pragnień, jak oni zwierzali mu się z swoich. Chciał umrzeć... Nie mogli go zrozumieć. Zdziwieni lub oburzeni, nazywali go magajem. Odbierać sobie życie?!... Cóż za szaleństwo!... Po co?... Dlaczego?...

A jemu wydawało się to tak naturalnem i prostem. Po to, aby nie żyć! Czyż to nie dosyć?!...

Niezrozumiany, wysmiany, zamknął się w sobie z swem chorobliwym marzeniem, które upajając, przegryzało go coraz głębiej. Brak powiernika, brak istoty bratniej, czynił go coraz bardziej obcym i wrogim życiu. Lekarza nie było. Świat leczyć nie umie, nie chce. Kto w samym sobie nie znajdzie przyjaciela i obrońcy, nie znaj-

dzie go w nikim. Życie dobija bez litości. Istota jego tkliwa i milcząca pozostawała też coraz bardziej w tyle po za rzeczywistością, z brutalnym hukiem pędzącą naprzód niewstrzymanie — i chroniła się tam, gdzie było spokojnie i cicho, gdzie nie ma bólu ani brzydoty, żadnych pragnień, nadziei, obaw, zawodów, ani ludzi z ich głupim i złym krzykiem, ani nic ludzkiego — nic, tylko szara, gasząca błędne ognie rozszalałych samolubstw, tuląca do miękkiego snu o dobrem i pięknem, nicość bez granic...

...Ach!... umrzeć!... W tem słowie czarownem brzmiał cudny śpiew pałacu rusałek, pełen najśodszych przyrzeczeń... niebiańska muzyka ukojenia, wyciskająca z oczu łzy rozkoszy... Umrzeć... Umrzeć!...

I podczas kiedy jego rówieśnicy na pierwsze hasło lat szesnastu gonili za dziewczętami, dławili się dymem lichego tytoniu i mocowali z obrzydłym smakiem tanich trunków, w tem ślepem, elementarnem parciu naśladowania bez wyboru wszystkich otaczających objawów życia, jakie przenika rwące się do wzrostu, do przyszłej siły i jej tryumfów brutalne, więc zdrowe, dusze chłopiące — on wyszukiwał u siebie puls tętnic i serca, myśląc z drżeniem: „tędy uchodzi życie“ i bawiąc się stryczkiem, zrobionym z kawałka sznura, zasypiał z nim nieraz na szyi, błogo upojony, jak inni zasypiają w rozkosznych uścisku kochanki. Dla niego były to symbole cudu! — świętego cudu śmierci.

Pewnego dnia wskoczył do rzeki, lecz został wyratowany. W pół roku potem znaleziono go na sznurze i tym razem odcięto w porę. Za trzecim razem znikł bez śladu. Przyszedł zapewne do przekonania, że wzgardziwszy życiem, nie dość je sobie odebrać — trzeba to jeszcze tak uczynić, aby się ubezpieczyć od ratujących.

ŁZY.

...Nie, wierzaj mi, nie ma na świecie nic głupszego od nawracania na drogę cnoty kobiet, które po niej kroczyć przestały, i radzę ci szczerze: nie czyn podobnego głupstwa nigdy! Raz tylko wprawdzie miałem sposobność przekonać się, do czego poprawianie grzesznic prowadzi, ale ten jeden raz wystarczył mi na całe życie.

Miałem wtedy lat dwadzieścia i formalną manię uwodzenia szwaczek. Mania ta grasowała wówczas pośród młodzieży epidemicznie i o ile wiem, do dziś dnia jeszcze nie wygasła. Przebieg choroby prosty i krótki. Powiadasz sobie na widok jakiejś facetki: „a teraz ta!“ — po niedługich zabiegach słowa stają się faktem lub rozbijają o opór ofiary — tak czy owak porzucasz ją niebawem i gonisz za nowemi.

Pewnej niedzieli w zimie uwziąłem się zaraz po obiedzie na jakąś nieznaną blondynkę, która po za tem, że była dla mnie od stóp do głów nową, miała w sobie wszystkie wabiki ośmnastoletniego łobuza w spodniczce, dość jeszcze świeżego, lecz popsutego już w każdym razie, który każe się namawiać do grzechu, choć go już kosztował, lecz nie da się namówić pierwszemu lepszemu.

Była zarumienioną mrozem, tłusciutką, miała gęste, wełniste włosy koloru miedzi, pełny biust, małą nóżkę, stąpała zgrabnie po śliskich taflach trotoaru, z chmurką pary, wyrzucanej oddechem, przy nosku i ustach. Oczy jej, strzelając po przechodniach, zahaczyły o mnie od pierwszego spojrzenia, tak że uznałem natychmiast za obowiązek honoru przyczepić się do niej i wsunąć jej rękę pod ramię.

Dopóki było jasno, śmiała się pół przyjaźnie, pół drwiąco z niezliczonych błazeństw, w które raz po raz podawałem jej zawiniętą bezwstydną propozycję spożycia z nią jabłka. Lecz kiedy słońce skryło się za szczyty dachów, w powietrzu znikła brylantowa mgła i wzmagający się coraz bardziej mróz począł dokuczać, odezwała się w końcu bez ceremonii:

— Więc gdzież pan ostatecznie mieszka?

— Gdzie pani każe, a właściwie...

— ...Zgoda, zjedzmy kolację w „Centralnym“ — i wsunąwszy teraz swoją rękę pod moje ramię, przycisnęła się rozkosznie do mego boku a w dziarskiej składowości, z jaką poczęła od tej chwili iść równym krokiem ze mną, był już słodki przedsmak ofiary, jaką uczynić musiała dla mnie w duchu z wieczora tej niedzieli i z swego dobrego serduszka. Przestaliśmy do siebie całkiem mówić, mając sobie do powiedzenia zbyt wiele.

Ale zapał, jakim wybuchnąłem zaraz niemal po przekroczeniu progu, zgasiała straszliwą groźbą:

— Tylko proszę: żadnych poufałości! bo pójdę natychmiast... Każ pan podać herbatę i usiądź grzecznie przy stole...

— Przy stole?!... Ani myślę. Nie głupim marnować życie. Są daleko wygodniejsze sprzęty. Zresztą i pani nie przebaczyłabyś mi tego nigdy... Przyznaj się...

Ba!... zaczyna drapać!... Obrona jej nie jest udaną. Ta szelmutka, tak łatwa w początkach, staje się w dalszym ciągu niemożliwą, chce, żeby ją zdobywać na seryo, jak nowicyuskę.

Trudna rada, poddałem się trudnym warunkom jej gustu. Wolałbym był wprawdzie lekkie miłosne *capriccio*, pełne figli i śmiechów, w bokacyszowskim stylu, — skoro jednak konieczność zmuszała do ciężkiej, ponurej blokady gdzieś z zmysłowych pieczar Rougon-Maquartów, gotów byłem podjąć się i takiej roboty. Daremnie jednak gorzałem; była zimną jak lód.

Po upływie godziny, może dwu, może trzech godzin daremnych przymileń, zmarnowanych forteli, uczułem się w końcu urażonym tem igraniem z moją najlepszą wola, zapałem i wytrwałością. Gdy nadto policzyłem podrapania na rękach, oberwane guziki, ilość wylanego potu, wyszafowanych sił i wszystkie w ogóle szkody toaletowe, cielesne i moralne, poniesione w tej kampanii, odsunąłem się od niej porywczo i tłumiąc w zębach obelgę, rzuciłem się wściekły w drugi kąt kanapy.

Naraz uczułem na szyi dwoje ramion i usta przy mych ustach.

— Gniewasz się?

— Naturalnie, że się gniewam.

(Właściwie już się nie gniewałem).

— O co?

— Jak można znęcać się tak nad kimś?!...

— Czyż nie możemy żartować?

— Więc to nie było na seryo?!...

— Rozumie się, że nie. Jest dopiero po siódmej, cóżbyśmy robili cały wieczór!...

Więc ona się tak droczyła dla naszego wspólnego dobra!... O mój aniele!... Ależ to zupełnie co innego. Porwałem ją w objęcia zachwycony — a raczej ona mnie teraz porwała... Przycisnąłem namiętnie wargi do jej ust — a raczej ona swoje do moich przycisnęła — i...

Lecz stała się rzecz fatalna...

Teraz ja byłem niby głaz — jak ona przed chwilą...

Nie zaraz to spostrzegłem, lecz skorom spostrzegł — formalny strach mnie ogarnął!... Coś podobnego zdarzało mi się po raz pierwszy w życiu! Nietylko strach, ale i wstyd, i melancholia bez granic...

Bo ona gorzała teraz, jak ja do niedawna, wszystkimi cząsteczkami swej istoty, porywała mnie! paliła!... — a ja byłem zimny jak lód...

Z początku próbowałem ją okłamywać, ale uczuwszy, że ta komedya długo przeciągać się nie da, opuściłem nagle ramiona i poddając się rozpacy, westchnąłem mimo woli...

— Co ci się stało?!...

— Nic.

— Nieprawda. Posmutniałeś tak nagle.

— Nie posmutniałem bynajmniej...

— Przecież widzę...

— Zdaje ci się...

— Nie kłam... Powiedz mi!... Możesz chory? Może ci się przypomniało coś smutnego? Może masz jakie zmartwienie?...

Co tu powiedzieć?... jak się wykręcić?... Ciekawość jej była wysoce podrażniona...

— A nie będziesz się gniewać?...

— Nie!... tylko mów!...

Oto ogarnęły mnie wyrzuty sumienia... żal nad nią... nad tą młodą, śliczną, rozkoszną a słabą, łatwowierną istotą, którą bałamuciłem dla własnej uciechy, a której los...!

Niepodobna mi przypomnieć sobie wszystko, czem na pół ją, na pół siebie okłamywać zacząłem — pamiętam jednak, że kłamałem z efektem... Efekt ten zresztą jedynym był dla mnie ratunkiem. Mówiłem zrazu dla uciszenia jej pytań, dla zamaskowania mojej słabości, później dla konsekwencyi, w końcu jednak wymowa mnie uniosła, własne frazesy upoiły, wrażenie, jakie wywierałem, udzieliło się mnie samemu i uwierzyłem naraz, że z lekkomyślnego pustaka przedzierzgam się w istotę ludzką, czującą zło, brzydotę i krzywdę miłostek ulicznych, żałującą ich, brzydzącą się niemi... Skazany złośliwą psotą przypadku na przymusowe nawrócenie, widziałem grzech w najczarniejszych kolorach i starałem się ze wszystkich sił, by ona widziała go w takich również.

I dokazałem tego. Melodramatyczny patos w pokoju źle oświeconym, przy mocnej herbacie i ciastach przesyconych wanilią, zrobił swoje. Musiała przy tem być trochę sentymentalną, trochę nerwową. Opuściła ramiona, zwiesiła główkę, a z pod spuszczonej rzes stoczyły się dwie łzy...

Zwyciężyłem!... Przejąłem ją mym nastrojem!... Pogardzała grzechem jak ja!... Jak ja bolała nad swym upadkiem!...

Ale o nieśmiertelny cudzie łez kobiecych!... Płacz jej nie podziałał na mnie wcale umoralniająco... Zamiast umocnić mnie w cnocie, począł nią chwiać, trząść, rozwalać ją, burzyć, aż z wspaniałego gmachu pozostała tylko garść pyłu znikoma...

Oceeniłem naraz napowrót jej piękność ze strony właściwej, przyłgnałem oczyma do jej białej szyi, do jej policzków rozognionych płaczem, do piersi, którą szarpały łkania, zapagnałem na nowo, stokroć silniej, przycisnąć ją do siebie, jak człowiek kochający bez granic, który chce być kochanym nawzajem i to natychmiast!... i to ze wszystkich sił!... bo nie ma nic nad miłość!... nie!... nie!... nie!... dopóki się ją odczuwa w jej całej potędze...

Lecz odtrąciła mnie oburącz z nieopisaną gwałtownością.

— Kocham cię!...

— Nie! nie!... Puść mnie pan!... Idę do domu... Natychmiast!... Nie zostanę tu ani chwili...

Próbowałem się ratować z rozpaczliwym pospiechem. Najpierw wykręcać zapomocą sofizmów sens mych wywodów moralnych, potem je wysmiewać wesoło, szydzić z nich cynicznie, wreszcie je deptać... deptać z całą żywiołową siłą przekonania zwyciężkiej miłości.

Niestety — bez skutku. Każde nowe słowo, nowy argument, zdawały się tylko pogłębiać przepaść między nami. Straciwszy wiarę w szczerotę mej wymowy, nieczuła się stała na jej moc.

— Więc idziesz pani stanowczo?... Ale się zobaczymy jeszcze?...

— Nie! nigdy! z nikim!...

— Nawet ze mną?

— Nawet z panem! Ostatni raz w życiu!!...

Ładna historia! Przewróciłem jej w głowie zupełnie. Nie spojrzy odtąd na żadnego mężczyznę... A niech ją!...

Ale nie. Tak byłem ogłupiony i wyczerpany tem, co zaszło, żem nie był w stanie ani jej przeklinać, ani ścigać. Wstydząc się oczu ludzkich, jak gdyby od pierwszego rzutu poznać musiały, jaką poniósłem klęskę, zamknąłem się w pokoju i wsłuchując się z niesmakiem i gorczyzą w żywy ruch hotelu, w dolatujące mnie z za ściany śmiechy i okrzyki — zasnąłem na krześle, w ubraniu...

Przebudziłem się nazajutrz, jakby połamany, zziębnięty, otruty czadem lampy, która świeciła się niezgaszona całą noc i do tego stopnia ogłuszony niewygodami desperackiego noclegu, że w pierwszej chwili nie mogłem poznać, gdzie

jestem. Przypomniawszy sobie wszystko — skrzywiłem się paskudnie, doznając przytem uczuć zapoznanego poety albo szulera, zgranego do nitki. Ale zaraz potem głupota, której w człowieku jest tak wiele, że niewiadomo, skąd się w nim jeszcze bierze miejsce na coś więcej, podszepnęła mi:

— To nic!... Spotkał cię ból, ale spełniłeś czyn dobry: nawróciłeś grzesznicę.

W chwili kiedy wychodziłem z pokoju, drzwi sasiedniego otwarły się również, wypuszczając na korytarz mężczyznę i kobietę, którzy bawili się wczoraj do późna tak wesoło o ścianę od mojej samotni.

Poznałem ją natychmiast. Była to moja grzesznica.

BIAŁY WRÓBEL.

...Nie słysząc kroków męża w drugim pokoju, weszła cicho. Stał przy oknie w tej posepnej zadumie, jaka tak często zachmurzała mu twarz i od życia, od niej zdawała się go oddalać, po śmierci dziecka i niebywałem fiasku jego ostatniej sztuki „Przeciw całemu światu“, do której tworząc ją, tyle świetnych przywiązywał nadziei a która przyjętą została jednym wielkim wrzaskiem oburzenia na śmiałka, poważającego się rzucać rękawicę wszystkiemu, co ludzkość przywykła od wieków uważać za „wielkie i święte“.

— O czym myślisz? — spytała z przymilem, zaglądając mu w oczy, zapatrzone w bruk dziedzińca pod oknem.

— O tem — odparł, wskazując głową.

Spojrzała — na kamieniach, brzuszkiem do góry, z zamkniętymi oczyma i skurczonymi łapkami, leżał bez ruchu nieznany jej mały ptaszek o białem pierzu.

— O tym ptaku? — zdziwiła się.

— O tym wróblu.

— Czyż to wróbel?!...

— Wróbel. Chłopcy od lakiernika pomalowali go na biało i puścili, a jego bracia... inne wróble... zadziobały go.

— I nad tem tak się zamysliłeś?

— Nad tem...

Milczeli chwilę. Wreszcie zaczął:

— Wiesz, kto jest ten wróbel, zadzióbany przez inne, ponieważ dzieci z pustoty pomalowały mu na białą piórka?...

...To jednostka, która przez kaprys trafu — ślepego jak dziecień władcy światów — różni się od ogółu, wyłamuje z kajdan przeciętności, chce być sobą... To zapatrzone w dno życia sceptyk wysmiany i obdarty, pośród praktycznych głupców, budujących sobie z gnoju i grudek błota domostwa i groby... To czciciel czystego piękna, niefałszowanych prawd, ideału niepokalanego względami na codzienny pożytek, to każdy, który nienawidzi, pluje i bezcześci, bo nie może nasycić wielkiej potrzeby kochania, nie znajdując nic naprawdę godnego miłości... To odludki, pesymiści, mizantropi... To wszyscy umęczeni przez tyranię ciemnoty i gwałtów, z którymi nie chcieli zawrzeć przymierza ani im służyć, wszyscy, którzy nie chcą kłamać i których okłamać niepodobna; wszyscy potępieni, wygnani, spaleni na stosie przez tłum i jego podżegaczy za to — że byli biali. A niekoniecznie kłątwa brzmieć musi w powietrzu, stos niekoniecznie ma płonąć... Żywioty odmienne i wykluczające się staczają samem swem istnieniem nieustanną walkę, która kończy się zawsze fizyczną śmiercią białych, tylko ostatni krzyk ich protestu leci niedosiężony w nieśmiertelność.

...Takim białym wróblem, skazanym prędzej lub później na śmierć pod kamieniami tłuszczy jest każdy, kto nie chce być brutalnym i głupim jak ona, nikczemnym jak jej fetysze.

...Takim białym wróblem był jasny duch Zaratusztry, który podniebne loty ku światłu przypłacić musiał połamaniem skrzydeł, bo nawet przyroda broni człowiekowi wzbijać się nad loty kur i gęsi... Był Chrystus, którego na krzyżu rozpięła jego białość...

...Nie wolno być białym!... Nie wolno być innym! Białość to pycha, to zdrada rodzaju. Białość to barwa buntu przeciw całemu światu i wszystkim głupstwom i szkaradom, jakie ludzkość od wieków przyzwyczała się uważać za wzniosłe i piękne... Do błota z innymi — albo na pal!!

...Lecz śmierć taka nie jest klęską, choćby się dokonała w ciszy, nie obdarzywszy natchnieniem ewangelistów. Śmierć taka to najwyższy z tryumfów!.. Niewielu jest, co raczej zginą pod pałkami siepaczy, niżeli z nimi zasiądą do wspólnych biesiad. Niewielu śmierć na krzyżu przemieść potrafi nad życie w kałuży... Niewielu!... biedny mój, biały wróbelku...

UPAŁY.

Przez cały maj padały takie deszcze, że — zdawało się — świat się w wodzie roztopi. A teraz od czterech tygodni wzmagał się bez ustanku upał i lipiec stał się prawdziwym miesiącem ognia. Olbrzymią strugą lała się z niebios spieka i rozprażała ziemię z każdym dniem bardziej, jakby ją chciała wysuszyć, spalić, wyludnić.

Chłopi mieli niebywałe zbiory, mówili: piękny rok. Ale miasto cierpiało straszliwie w tym bezlitośnym zalewie ukropu. Drzewa zwieszały smętnie spragnione dżdżu liście, trawa kładła się zeschnięta, obumarła, zapyłona, podobna śmieciom. Mury i bruki, prażone przez skwar, ziały ogniem jak wylot rozpalonego pieca. Nie było nigdzie widać ptaszyny!... Uciekły do lasu lub chowały się pod okapami dachów i w szarej, suchej, cuchnącej zieleni umęczonych w tej hucie drzew ulicznych. Konie fiakerskie, te najbiedniejsze z wszystkich istot, skazanych na niewolę człowieka, zwieszając senne, zbolące łby w cieniu, który chłodu nie dawał, zdawały się dogorywać. Ludzie wlekli się ulicami tylko pod przymusem konieczności, a twarze ich czerwone i spotniałe, miny ich, spojrzenia, ruchy, suknie, wszystko, zdawały się powtarzać na jeden nudnie

stękający ton: „cóż za gorąco!... co za przekłete gorąco!...“ Tu i owdzie przemykał się po pod mury, z oczyma krwią nabiegłemi, z wywieszonym językiem, pies, szukający rozpaczliwie wody. W rynsztokach, w szczelinach bruku, zamiast niej leżał szary, rozgrzany, mialki jak mąka pył, którym leniwe podmuchy suchego wiatru rzucały w oczy, w nozdrza, w usta zwierząt i ludzi.

W taki to dzień Cyrklewicz, buhalter drukarni Wursta, idąc z biur zarządu przez szereg sal do głównego maszynisty z jakimś zleceniem, zetknął się w którychś drzwiach z nakładaczką Józią, niosącą świeżo odbity arkusz do korekty. Wpadłszy wprost na siebie, zatrzymali się oboje w ciasnem przejściu jak wryci i przez jedno mgnienie oka stali jedno naprzeciw drugiego, stykając się sukniemi i paląc oddechem, ona trochę zażenowana jego wzrokiem i bliskością, on zaczepiony wonią pomady, potu i farby drukarskiej, jaka biła od tej młodej, smukłej szatynki.

Jednego z zecerów, przeciskającego się mimo nich drzwiami, natchnął ten widok do konceptu:

— O!... Zderzenie pociągów!..

Nic, jak wiadomo, nie dorówna dowcipowi zecerów. Kształcą go w sobie, składając noworoczniki pocztowe i kalendarze humorystyczne.

Poczem zwracając się do buhaltera z gracyą ruchów, która przy brudnej, niebieskiej bluzie rzadki sprawiała efekt:

— Najładniejsza z naszych panienek.

— Niby to ja tego sam nie wiem od dawna! — odrzekł buhalter kokieteryjnie i przeszył

zarumienioną komplementami dziewczynę wzrokiem bałamuta, który sam jeden paradyjąc w eleganckim garniturze wśród tej gromady smoluchów, ma prawo czuć się pięknym i drwić z rywali. Buhalter uważał się zresztą za pięknego co roku o tej porze, sprawiał sobie bowiem zawsze w tym czasie nowe ubranie.

Ustąpił Józia przeszła; po chwili obejrzał się za nią i zobaczył ją w drugich czy trzecich drzwiach, jak zerknęła za nim błyszczącemi oczyma, jeszcze mocniej zarumieniona. W następstwie tak doniosłego zajścia zaglądał parę razy dnia tego wbrew potrzebie i zwyczajowi do sali maszyn, szukając wzrokiem Józii a wieczorem starał się spotkać, niby przypadkiem, wychodzącą z roboty i odprowadził ją do domu. Pierwszy raz od trzech czy czterech lat, jak pracowali oboje w tym samym zakładzie.

Nazajutrz wiedziała już o tem cała drukarnia, zajmowała się faktem, komentowała go. Ktoś zaczepił buhaltera żartobliwie:

— Ładne rzeczy!... Bałamuci nam pan najporządniejszą nakładaczkę...

Inny pogroził Józii palcem:

— Ej! panno Józiu!... Ostrożnie!...

I naraz objawiła się rzecz dziwna. Ponieważ buhalter umizgał się do Józii, poczęli się do niej umizgać wszyscy. Jeżeli on, to i my także. Czyśmy to gorsi? Jedni dla zabawy, drudzy przez złośliwość, inni przez małpiarstwo albo na próbę „nuż się uda?...“ wreszcie dla honoru zecer-skiego fachu. Buhalter bowiem, jako nie zecer,

jest w drukarni intruzem, człowiekiem obcym, istotą innego gatunku, nie ma więc prawa sięgać po jabłka, rosnące w ich ogrodzie. Józia jest wartą grzechu — czyliż nie znajdzie się w szeregach drukarzy nikt, co dziewczuchę grzeszyć nauczy? Toby dopiero była hańba, gdyby tak szczytnej i rycerskiej misji dokonał ten przybysz z kozią bródką, ta małpa żółtowłosa, frygająca się od rana do wieczora jak pchła po drukarni. Dziewczyna spokojna, uważana za zimną, przezywana rybą, obojętna dla każdego z nich wczoraj jeszcze, gdy na nią nikt uwagi nie zwracał, stała się nagle apetyczną dla wszystkich, z pojawieniem się kogoś, co po nią wyciągnął ręce. I w upale, który sztucznie podsycił werwę gromady, uwięzionej w dusznych izbach przez długie godziny, została królową dnia, osią tego ula, jedną z tych bohaterek chwili, jakie zmienna fala wypadków wynosi i pogrąża nieustannie nawet w najmniejszej zatoce ogromnej kałuży życia. Stała się nagle wziętą, rozrywaną, ściganą na każdym kroku, jak suczka na wiosnę, kiedy usłużny swat, wichler, rozniesie wieść radośną o ocknięciu się jej płci. Mrugano na nią, ocierano się łokciami o jej wydatne kobiece biodra, wieszono ją, z po za kaszt leciały za nią tłuste dwuznaczniki, w drzwiach lubieżnie uśmiechnięte usta zastępywały jej drogę, a kiedy stała na stopniu maszyny i podawała jej „łapką“ arkusz za arkuszem, które łakomie porywał walec, maćły jej spokój i rozpraszały uwagę zaczepne spojrzenia zecerów, z „sztyletem“

w ręku pochylonych nad ostatnią korektą. Nawet stara zecerska gwardya, która wołała już piwo od miłości, rzucała na nią krótkie mruknięcia zaczajonych demonów, aby w ogólnym koncercie rozochoconych samców nie razić zbyt-
nio jesienną melancholią swych serc ostygłych. Nawet parobcy od maszyn, brudne, powolne i ponure jak woły zwierzęta robocze, obsługujące tę prasę dyablicę, która z sykiem i trzaskiem brukała znakami myśli ludzkiej czyste szmaty papieru, zbudzili się z swego snu i uległszy zarazie, odnajdywali wzrokiem małe, świeże i krzepkie piersi Józi pod zwiotczalem płótnem jej kaftanika. Po za innymi zaś, z błogim uśmiechem trawiącego fiegmatyka, maszynista Tłusteczki, oparłszy się o ścianę, z nogą założoną na nogę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, wypinał naprzód pogodnie swój brzuch i rozświecając połyskiem swej tłustej, jakby w słoninie umaczanej, gęby mrok izby maszyn, wpatrywał się lubieżnie małemi, bezrzęsami ślepkami prosięcia w to ciało dziewczęce nad maszyną, smukłe i sprężyste, które wzbudzało wokół tyle żądź. I miał przytem minę zadowolonego cerbera, który czuwając nad czemś bardzo łakomem i smacz-
nem, czego sam spożyć nie może z powodu lenistwa i przysiąg małżeńskich, ogromnej doświadcza uciechy na widok tych, co dokoła niego łykają ślinkę, daremnie ostrząc sobie zębki.

Umizgi „żółtowłosej małpy“ do Józi śledzono z całą bacnością, nie przeocząc żadnego szczegółu. Jednego dnia rozbiegła się wieść:

— Przyniósł jej różę!...

— Doprawdy?...

I: — „Różę jej przyniósł!... Słyszycie?... Nosi jej różę!...” — rozległo się na wszystkie strony.

Kiedyindziej gruchnęło:

— Dał jej śliwek!...

— Nie może być!... Śliwek?!... Na seryo? No, no, patrzajcie!... Cyrklewicz przynosi Józce śliwek... O! wypluła właśnie pestkę... Powinien by ją schować na pamiętkę...

Raz zrobiła sensacyę nowina, że w niedzielę popołudniu byli oboje za rogatkami na kwaśnem mleku. To znowu rozniosła woń skandalu plotka, że ich widziano razem po dziesiątej w nocy... Aż dnia pewnego, gdy Józia z pękiem papieru, który niosła przed sobą na piersiach niby mszał, przechodziła z składów do maszyn przez zecernię, odezwało się z po za którejs kaszty na cały głos z udaną powagą pytanie:

— Panno Józiu?!... No dobrze — ale czy się ożeni?...

Natychmiast ze wszystkich stron odpowiedziały chórem solenne okrzyki:

— Naturalnie, że się ożeni.. Musi się ożenić... Niechby się tylko nie ożenił!...

Kto tylko od tej chwili chciał wywołać w drukarni śmiech homeryczny, odzywał się zniecka na cały głos w najmniej spodziewanej chwili:

— Ale tylko pod tym warunkiem, że się ożeni...

Mimo powtarzania dowcipu po kilka razy na dzień, efekt zawsze był pewny.

Ruch ten trwał dwa, trzy, cztery tygodnie, podsycany żarem sierpniowych dni. Józia jaśniała rozpromieniona jak nimfa wśród zgrai umizgających się trytonów, pojąc się bezmyślnie rozkoszą swego niespodzianego tryumfu. W dzień płonęła od ognia ciągłych hołdów — wieczorem odurzała się trunkiem miłosnych szeptów, tych słodkich kłamstw rzekomego uwielbienia, które mi głoduy podbojów i rozkoszy samiec usiłuje zwalczyć chłód przezornej samiczki. A w nocy śniła, śniła rozkosznie o miłości, do której raz bodaj w życiu i najuboższe serce ludzkie rwie się całą mocą swego tętna — tak często daremnie. Cyrklewicz jednak... przyjmowała jego zabiegi, ale jakże on ją mało obchodził!... Wszak jej teraz łaknęło tylu!...

Wtem nastały deszcze. Na niebie ukazały się chmury, na ziemi błoto, wilgoć i zimno rozpostarły się po świecie. Hulaszczy szął gromady zgasł, odkąd znikło słońce, humory sposepniały, zamiast dowcipów rozlegał się w zakładzie tylko klekot czcionek i szczęk maszyn. Figlarny amor uleciał w świat z drukarni...

Naraz, jakby za sprawą czarów, Józia ujrzała się samą. Przestano się do niej uśmiechać, prawić jej głupstwa, szczypać ją w ramię, w pól obejmować, przestano na nią zwracać uwagę, jakby się stała niewidzialną lub popełniła coś złego. Myślała najpierw, że się myli, potem, że to przeminie. Potem, wzgardziwszy mężczyznami,

k którzy za długo byli dla niej obojętni, aby miała sobie coś zrobić z ich odstępstwa, zwróciła się ku koleżankom, które tak jej schlebiali, odkąd stała się przedmiotem ogólnej uwagi. Ale koleżanki traktowały ją teraz przez ramię. „Cóż im się zdaje, oślicom, że ja o nie stoję?!...“ — powiedziała sobie w duchu i wzniosła głowę hardo. Miała prawo ją wznieść. Nie była zupełnie samą; znajdował się przecie ktoś, na kim mogła polegać, co pozostanie przy niej i co jej wystarczy. On...

Po raz pierwszy czekała na niego naprawdę, myślała o nim, poczyniała za nim tęsknić.

Ale kiedy wieczorem, w godzinie wyjścia, nie przyszedł po raz pierwszy i kiedy dni następnych powtórzyło się to samo, kiedy ujrzała się sama jedna, opuszczoną, jakby odepchniętą w ciemnym kącie za maszynami, gdzie po robocie nakładaczki zarzucały na siebie spodnice, zakwiaty i poprawiały włosów przed wyjściem na ulicę, serce jej się ścisnęło tak boleśnie, jakby to była chwila jakiejś stanowczej i niecofniętej klęski, jakiegoś zmarnowania doli, nie dającego się powetować...

I teraz dopiero ta „ryba“ zimnokrwista, w której praca, bieda i przesąd zgasiły słaby płomyk młodości, uczuła, że ręce jej wyciągają się do kogoś, że serce jej komuś bije, że usta jej rozchylają się czyimś ustom, i wydało się jej, że ten jeden, o którym pomyślała na samym ostatku, pragnął jej mocniej, szczerzej niż inni, że należał do niej w pewnej chwili i nie żądała już odeń niczego, tylko, by przy niej teraz był...

WIZYTA.

— Murzyni jadą!... Murzyni!...

Cały personal drukarni z wyciągniętymi szycjami rzuca się do okien.

— Stań! przed bramą!... wysiadają!...

Przy oknach robi się pusto. Wszystko pędzi na złamanie karku na pierwsze piętro, do lokalu redakcyi, gdzie już wicher ciekawości zmiótł w mgnieniu oka służące i dzieci z wszystkich trzech piątr kamienicy.

W środku największej sali biura stań!o rzędem pięć rośl!ych, czarnych cór południa, z kabinami przy potężnych udach, zaledwie osłoniętych cienkim perkalikiem w białe i sine prążki, upstrzonym sznurami drobnych, białych muszelek.

Dwadzieścia sztuk tych kobiet zamorskich produkować zamierza przejezdny impressario w jednym z ogrodów publicznych. Najokazalsze egzemplarze, jak komiwojażer próbki, obwozi dla reklamy po redakcyach.

Murzynki stoją jak mur. Dokoła nich zacieśnia się coraz grubsza obręcz gapiów. Pomiedzy czarną a białą połową zebrania reporter uwija się jak fryga i paple jak nakręcony fonograf.

— Dahomejki!... Amazonki króla Dahomeju... — objaśnia. — Przyboczna gwardya!... żołnierze, awansujący w miarę potrzeby na kochanki pana, a potem na żony jego sług. Jak u nas. Liczba ich: pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy?!... O szczęśny władco, który ich tyle posiadasz... Stokroć szczęśniejszy, że ich aż tylu potrzebujesz...

— Póki pod bronią — gwarantowane dziewice! jak babcię kocham!... — dowcipkuje reporter.

— Ale fe!... Potrafiłyżby naprawdę wytrzymać w skwarze swej ojczyzny?...

— Muszą. Wynaleziono na to sposób.

— Jaki?!... Możeby i u nas...

— Tę, któraby się pozbyła wianka w niewłaściwym terminie, skracają o głowę.

— Za taką drobnostkę?!... Tego nie można w cywilizowanym społeczeństwie. Padałyby głowy jak za rewolucyi francuskiej...

Ciało redakcyjne, wszyscy panowie od polityki, ekonomii, kroniki i sztuk pięknych, skupili się w komplecie przed frontem dziewic-rycerzy, z piórami i gazetami w ręku, z niedogasłym wątkiem przerwanych artykułów na czole myślącym, z jakimś smętnie głupkowatym grymasem patentowanego wszechznawstwa w niewyspanych i niewytrzeźwionych należycie minach przekupniów nowin.

Zjawienie się naczelnego redaktora — niby wejście arcykapłana do świątyni, ucisza gwar i czyni wyłom w ścisku gapiów.

Na znak impressaria jedna z amazonek wygłasza komendę i wszystkie pięć, zrównawszy się, z wojskowym szykiem prezentują broń przed luminarzem zaścianka. Jakby poselstwo barbarzyńskich ludów południa składało hołd geniuszowi oświeconej Europy. Olbrzymi efekt!...

Redaktor jednak mięsza się nieco, czując się wplątany w hecę. Wyjątkowa sytuacja, zaskoczywszy go niespodzianie, budzi w jego wykwintnym umyśle wątpliwość, czy jest dość wielkim, aby się śmiesznym nie wydać w tej pantomimie. Nie wie, jak się zachować wobec tak dziwnych gości. Przyjmował już z otwartymi rękoma braciwłóścian w siermięgach, odzianych w bluzy robotników, deputacje mieszczańskie w kontuszach i wyfraczone komitety inteligencji i nie zapomniał nigdy, jak to mówią, języka w gębie. Ale te czarne, półnagie jejmościanki, których rzeźbione biusty z afrykańskim natręctwem pchają się w oczy przez rozpreżone płócienko, a duże, białe zęby śmieją się na pół wyzywająco, na pół chytrze... Jak je traktować?... Jak kobiety?... jak dziewczki?... czy jak tresowane małpy?... I w tem niezdecydowaniu, drepcąc na miejscu wśród nerwowych drgawek człowieka, którego świerzbi cała skóra, sam czyni pocieszne wrażenie zakłopotanego orangutana.

Przez chwilę stoją tak naprzeciw siebie, ślizgając się po sobie oczyma, ci cywilizowani i te dzikie. One śmieją się bezmyślnie, wesoło, szczerze, czarne od zwrotnikowego słońca, bujne swem dzikiem zdrowiem, tęgie, mocne i czyste jak

zwierzęta — dzieci natury, nie znające pudru, gorsetu, flirtu i prostytutki, posiadające od cywilizacji tylko ten niemiecki perkal, te strzelby angielskie i ten międzynarodowy honor bawienia swym widokiem zblazowanej Europy.

Dokoła nich zaś patrzą z odcieniem litości i wzgardy — niby na dziwolągi lub zwierzęta — bladymi posepnymi oczyma dzieci, chore na skrofuły, anemię, rachitis, panowie zatruci kofeiną, nikotyną, fuzlem, jodem i rtęcią, w jegerowskich kaftanikach, z wata w uszach i z wprawianymi zębami, z szkłami na oczach, z przedwcześnie łąsą i osiwiłą czaszką, z reumatyzmem stawów i katarami błon, z chorobami w każdej części ciała i zboczeniami wszystkich funkcji, z duszą w głębi tych ciał-czerepów wykoszlawioną przez tysiące indywidualnych i tłumowych zaślepień i kalectw, z całą paradą wiekowej kultury, która stawia ich ponad te bosa, dzikie antropomorfy.

Szef-redaktor, wysłuchawszy łaskawie informacji impressaria, wygłoszonych z kobiecą zalotnością, widząc dokoła siebie galeryę widzów tak liczną, odczuwa wrodzoną jednostkom wybitnym, nawykową u aktorów, potrzebę zaznaczenia się, powiedzenia czegoś, godnego przejść do potomności, — bo historia czeka i naród patrzy.

— Czy rozumieją po angielsku? — pyta impressaria.

— Cokolwiek. Dowodząca...

Redaktor zwraca się do amazonki-kaprała z sprężynowym dygiem dansera, który zaprasza damę do walca:

— Co panie robicie u siebie w domu?

Impressario pomaga zapytanej, w jej narzeczu, zrozumieć pytanie, czy też sformułować odpowiedź.

— Bronimy bogów i ojczyzny — odpowiada rezolutnie kobieta-żołnierz, uderzając dłonią w kabin. — A wy co robicie u siebie?...

— To samo... to samo... — odpowiada spiesznie dziennikarz, wyjmując pióro z za ucha, czerwieni się — rzecz dziwna — i znika.

PIŁKA.

...Nakoniec książę, spoglądający raz po raz niespokojnie na zegarek, skreślił ołówkiem nerwo-wo pytanie na ćwiartce papieru i wskazał ją oczyma kamerdynerowi.

Pałacowy dygnitarz nachyla się, a przeczytawszy, odpowiada zmęczonym oczom, przez które patrzy ból, gorączka i miłość z zniszczonej twarzy dogorywającego :

— Słysząc głosy księżniczek na głównych schodach.

Książę zatyka palcem srebrną skówkę na szyi, w głębi której od roku rak pożera mu krtań, aby wycharczeć :

— Chodźmy.

Opierając się na lasce i na ramieniu sługi, z chorobliwym pośpiechem rusza przez pokoje. Z plafonów, ścian i posadzek blask milionów składa poddańcze hołdy temu złamanemu ciału, tej twarzy wyschłej, ziemistej, skrzywionej bólem. Śpiewa nad jego konaniem tryumfalną kantatę szczęścia, zaklętego w złoto, za które połowa ludzi go ubóstwia, druga połowa nienawidzi, a wszyscy boją się i do nóg mu płaszcza, z którego szydzi jedna tylko depcząca wszystko śmierć.

Bokiem opuściwszy pałac, by ich nie spostrzeżono, skradają się ku zakrzewionym alejom i znikają w gęstwinie. Pod osłoną krzaków dochodzą niewidzialni przed sam niemal front budowli, której lśniąca białość, oblana złotem słońca i lazurowymi refleksami niebios, jaśnieje niby wizya czarodziejskiego zamku wrózek ponad soczystą zielenią trawników, wyrzucających w górę smukłe fontanny drzewek i kwiatów, dokoła zaś stokami wzgórz spływa w falach w dolinę różnobarwna zielen parku, gdzie kopuły starych drzew piętrzą się, kołysząc, jak ruchome gmachy.

Na słońcem zalanym tarasie u stóp pałacowych schodów bawią się dwie dziewczynki pod okiem bony. Cała dusza księcia rzuca się przez oczy z jękiem do dzieci. Widok ich w godzinie zabawy pomiędzy dwiema lekcjami stanowi codzien jedyną, ostatnią jego rozkosz, tak zrosła z cierpieniem, jak życie jego zrosłem jest teraz z śmiercią, której ostre szpony wbijają się w jego ciało coraz głębiej... Przestał im się pokazywać od roku. Jak złodziej z ukrycia patrzy na własne dzieci, aby nie zamącać ich wspomnień ohydą swego kalectwa i nie narażać zdrowia ich bliskością swego rozkładu.

...Ta cudowna muzyka młodych głosików... Blask tych precudnych ocz... Zorza tych świeżych ciałek różowych... Anielskie widzenie niepokalanania, prostoty, dobroci, świętości tych drobnych, rozkwitających dopiero istot...

Fruwają jak ptaki... Zeby która nie upadła!... Świecą jak dwa cheruby w sukienkach z białe-

go batystu... Kwitną jak dwa cudowne kwiaty! Pije je wzrokiem... oddycha niemi... modli się do nich, przytula się do nich z oddali i pożera-
jąc je rozpaczliwemi pocałunkami skazańca, prze-
pada w niewysłowionem szczęściu posiadania
tych skarbów...

— Moje!... Moje drogie!... kochane!...

Nagłe wstrząśnienie szarpnęło liśmi. Przed-
miot jakiś, przebiwszy gęstwiny, upadł z szele-
stem u stóp księcia. Lokaj schyla się, by pod-
nieść. Ale w tej samej chwili prostuje się, ści-
snawszy zęby z bólu pod żelaznym uściskiem pal-
ców pana, wpijających mu się w ramię. Księżę
schyla się sam, podnosi z ziemi i przyciska do
ust oburącz szary gumowy balonik, który zabłą-
kał się tutaj przypadkiem z rąk jednej z jego
dziewczątek.

W chwili, gdy przerażona guwernantka upro-
wadza dzieci w inną stronę, on całuje piłkę,
tłumiąc nią łkania swej przegniłej krtani, a z o-
czu płyną mu łzy.

NIEMORALNA HISTORIA.

Kasper Burak, krawiec, mający przysłowie: „dobry robotnik zawsze znajdzie parę portek do załatania“, — spodziewał się w domu tego wieczora strasznej burzy.

Dziś rano stary kompan i przyjaciel Kajetan Wałecki, też krawieckiego fachu, przestrzegł go: „Słuchaj bracie, mam ci jeden paskudny kawałek do powiedzenia. Twoja baba wie o Ludwice, a jakże, i o dziecku też. Dowiedziała się nie wiem skąd zgrubsza a wypytała do najcińszego moją starą i teraz wie wszystko. Zbeszt¹ b²em, ma się wiedzieć, moją oślicę przeokropnie, i o co paplała, ale — powiada — nie mogła zataić, bo ją twoja zaszła od serca. Miejże się na baczności, chłopeczku, i radź se jak możesz, kiedy już wiesz: bądź zdrów“.

Co to będzie?!...

Zwlekał z pójściem do domu cały wieczór, z braku konceptu i odwagi do wykretów. W końcu wsunął się na palcach, przed samą dziesiątą, licząc na to, że będzie spała. Ale ją zastał siedzącą przy lampie, w okularach na nosie, zajętą cerowaniem, i skóra na nim ścierpła. Postać jej wydała mu się w świetle lampy dziwnie surową. Wyraźnie czekała na niego.

Tymczasem ona, mruknawszy najpierw zwykłym głosem łagodnego wyrzutu (bo choć niemłoda, jędrą nie była):

— Aleś się też zasiedział Kasperku... — dodała zaraz całkiem naturalnie: — Przejesz co? — a otrzymawszy cichutką, potulną odpowiedź grzecznego chłopczyka, że niegłodny, od razu odłożyła igłę, napałstek, bieliznę i wsparłszy rękę łokciem na stole a twarz na rękę, z oczyma wpatrzonemi w lampę z po za świecących szkieł okularów, wyrzekła spokojnie i zwolna po chwili ce milczącej zadumy:

— Słuchaj-no Kasper, nie byłoby to lepiej, żebyś ty ją sobie do domu wziął?...

Kasper oniemiał. Wybałuszył na żonę oczy i uczuł w gębie zarazem suchość i dziwną, mdłą słodkość zdemaskowanej zbrodni.

— Bo to i taniejby kosztowało, widzisz, i w domubys wtenczas przesiadywał i nie byłoby sekretów, udawania...

Był zdumiony aż do przestracchu. Czując, że musi się przecie odezwać, szepnął cienkim, niemęzkim głosem lęku:

— To ty... wiesz?... Margosiu?...

— A no wiem. Dowiedziałam się przedwczoraj trochę, a dziś resztę i pomyślałam se zaraz: „I po co się też z tem krył!“ Przecie ja wiem, mójes ty, zem stara. Mam o sześć lat więcej od ciebie. Staras mnie już wziął i dziś już ze mnie siwa babka a tyś jeszcze chłop do czego. Mówią mi, że to spokojne, ciche, porządne dziewczysko, więc myślę se: jak umrę, ożeniłbys się z nią pe-

wnie, a skorom jeszcze nie umarła, nie powinienam wam zawadzać... Ty się kryjesz, ja w głowę zachodzę, co ty za domem masz teraz tyle do roboty, trapię się, czyś się nie wziął do kieliszka albo do kart — a tutaj taka sprawa... Weźże ją do siebie i basta. Ja sobie będę babka, jak jestem, a ona ci będzie kobietą i skończyło się... Po co się ma marnić i dziecko też...

— To i o dziecku wiesz?!...

— Cobym nie wiedziała. Wszystkim nam będzie wygodniej, spokojniej i nie będzie tyle kosztowało. Zawsze to co jeden dom, to nie dwa.

— Bój się Boga... kobieto... — bełkotał — ady... ady ja myślałem, że ty mi... garczkiem w łeb dasz... jak się dowiesz... a ty...

— Idźże, idź. Tobo dopiero był rozum i dużoby z tego mnie i tobie przyszło. A co się mamy żryć, kiedy wszystko może zostać po ludzku... Weź ją zaraz jutro, bo we czwartek pierwszego, żeby czynszu na drugi miesiąc nie płacić... Co ja mam jej źle życzyć albo ona mnie. Stało się, trudno. Ja jej będę dziecko bawić a ona się za to koło domu niech zawinie, skoro młodsza, bo mnie już ciężko, choć ta wiesz, że leniuch nie jestem.

— Bój się Boga... Margoś...

Nie wiedział, co ma gadać, co ma myśleć, co się z nim dzieje. To przechodziło jego krawieckie doświadczenie życiowe, jego wyrobione, wkorzone, wryte jak stary mur w ziemię pojęcia o przyczynowości zdarzeń, o boskim odwiecznym ładzie świata i dusz ludzkich. Miał sobie

na boku, choć żonaty, dziewczynę, kochali się, mieli nawet rocznego chłopca, — trudno, rzecz wcale naturalna, gdy liczy się dopiero trzydzieści siedm czy ośm lat, gdy się posiada starszą od siebie żonę, a serce młode. Rzecz naturalna, choć wstydliva. Ale skoro się taka rzecz wyjawia, powinien stąd wyniknąć jakiś hałas, mała rucha-wka, trochę klęcia, zamierzania się, obelg, nawet mała, maleńka... ot, z paroma bodaj siniakami... bitka, dla samego honoru domu i zadosyćczy-nienia obyczajności: jednym słowem małe pie-kiełko, jako zasłużona kara. Tego żądało jego sumienie poczuwającego się do winy grzesznika, jego logika i poczucie sprawiedliwości. Ale nic?... nic?!... Żadnych wyrzutów?... ani jednego roz-bitego garnka?... tylko taka prosta, poczciwa, wspaniałomyślna, praktyczna, roztropna, zdrowa propozycja?!...

Krawiec długo nie mógł tchu złapać. Na-reszcie wybuchnął:

— Wiesz?... Wiesz Margoś?!... Ja byłem zawsze kiep przy twoim rozumie... ale to mało, żeś ty mądrzejsza... Ty jesteś... święta baba!... Jak Boga kocham, żebym tak zdechł, święta! co się nazywa świętości kobieta!... Ja postąpi-łem jak świnia — a ty!... Ja nie jestem wart, żebyś ty była dla mnie taka!... Drugaby mi przy-najmniej po pysku dała, a ty!... Margoś! tak być nie może... Ja cię proszę, zlituj ty się nade-mną — daj mi w pysk!... Chociaż raz!... Bo tak zostać nie powinno!... Mnie tu w piersiach ściska, żeś ty tak pomyślała... w tym przypadku...

jak... jak matka!... gdzie innaby dom cały do góry nogami przewróciła i wrzasku narobiła na całe przedmieście, i mnie zmięszała z błotem, i dziewczynę sponiewierała, i sam już nie wiem co...

Wyczałował jej ręce, płacząc i siakając nos w jej fartuch, a nazajutrz sprowadził tamtę z dzieckiem do domu.

Zyją wzorowo od lat czterech w pięcioro, bo po chłopcu przyszła córka. Legalna żona każe się dzieciom nazywać „babką“ i chodzi koło nich jak koło własnych wnuków, towarzyszkę swoją traktuje jak córkę, zostawiając jej wszystkie przywileje żony istotnej, pani domu. Tamta czci ją jak świętą! — a krawiec, podbity przez starą, przywiązany do młodej, uszczęśliwiony dziećmi, tą matką, która nie jest matką, i tą żoną, która nie jest żoną, czuje się najszczęśliwszym z ludzi w swym małym, dziwnym światku, urągającym dużemu a jednak uczciwym.

Co niedzielę idą całą kawalkatą na spacer. Przyłącza się do nich kulawy na jedną nogę lecz tęgi w muzyce i dowcipie Urban Klockiewicz, stary kawaler, krawiec także, z gitarą ukrytą pod połą surduta, gdzie widać ją tak dobrze, jakby ją niósł na tacy. Kasper niesie pod pachą harmonię, a na ręku mniejsze dziecko, chłopca prowadzi za rączkę „babka“, Ludwika zaś niesie kosz z prowiantami i napitkiem, i parasol. Gdzieś za rogatkami, na trawie, pod pierwszym lepszym krzakiem, pozdejmowawszy buty z powodu odcisków i kamizelki z powodu gorąca, spędzą bo-

skie popołudnie, wygrywając fałszywie obrzydliwe melodye, jedząc, pijąc i plotąc głupie i rubaszne dowcipy, które ich wprawiają w doskonały humor.

Trzy ćwierci przedmieścia, na którym mieszka Kasper, patrzą na ten skandal z oburzeniem. Kumoszki, twardsze w cnocie, uważają kółko rodzinne Kaspra za zupełną Sodomę, jego samego za antychrysta, a obie jego żony za bezwstydnice, które lada dzień będą gonić po zaułkach. Spluwają, spotkawszy kogokolwiek z tej szajki.

Nic ich to wszystkich nie dotyka. Kobiety lubią dom, nie wychylają z niego nosa, a krawiec haruje jak wół, dowcipkując przytem:

— Mam dwie baby — za dwóch chłopów muszę pracować.

MAJÓWKA.

— A teraz... precz mi z oczu!... Nie mogę na ciebie patrzeć! potworze!...

...Byłem z nim wczoraj, uważacie, na mająwce w Rurach... Posłuchajcie, co mi to bydlę zrobiło.

...Tego roku Kocia pojechała na sezon do Rur. Ponieważ kabalarka przepowiedziała jej w zimie jeszcze szczęście, robiła więc sobie świetne nadzieje na całe lato. Tymczasem w Rurach ani psa — bajeczne pustki. Deszcz zadrwił z kabały. Telegrafuje więc do mnie Kocia we wtorek:

„Umrę z nudów — przyjeźdź chociaż na jeden dzień! Nr. 8“.

...Odpowiadam depeszą:

„Nie umieraj przed końcem tygodnia, pragnę poświęcić ci niedzielę“.

...Wczoraj rano nakupiłem wiktuałów, napoi, kwiatów, wszystkiego co lubimy oboje — i jazda. Ale w ostatniej chwili przyszła mi do głowy myśl waryacka zaopatrzyć się w towarzysza podróży, takiego, coby to bawił, a nie zawadzał. Nawinęła mi się śmiejąca gęba tej małpy, myślę sobie: ten do tego jedyny — je za dwóch, pije za trzech, i śmieje się, nawet gdy nie ma z czego —; wziąłem go. Śmiała się bestya isto-

tnie cały czas, śmieje się — o! — nawet do-
tąd: ze mnie!... Och! gdybym był przeczuł!...

...Ano, wziąłem go. Jedziemy, przyjeżdżamy,
szukamy numeru 8-go i znajdujemy go. Sliczny
domeczek, biały z żółciutką strzechą na zielonem
tle sadu — jak jajko na szpinaku. Akurat na
majówkę. W sadzie czerwienią się wiśnie, z wa-
rzywnego płomienieją maki, a cała ta bujność
wygrzewa się rozkosznie w topieli skwaru, na
który czekała długo. Baba czerwona, otyła, na-
jedzona, uśmiechnięta, stoi przed progiem pod-
parta w boki rękoma jak dzbanek o dwu uszach.

— Macie wy tu kogo z miasta babusiu?

— Ojej!...

...To tu.

...Mówię do Franka: — Bierz te dwa ko-
sze — ja wezmę tamten.

...Zobaczyłem w oknie z prawej strony domu
damski kapelusz. To tam. Objuczeni oburącz, ze-
skakujemy na ziemię z Frankiem i wkraczamy
w sień. Z po za uchylonych drzwi bieli się prze-
wieszona na poręczy krzesła spodniczka czy coś
podobnego. Któżby nie poznał po tem Koci!...
To tam.

...Wchodzimy tedy, stawiamy kosze zjeżone
szybkami flaszek na stole, poczem ja siadam na
kufrze i zaczynam weń bębnić z całej siły a Fran-
nek porywa z okna dwie blaszane pokrywki i u-
derza w nie jak w czyniele. Wśród tego wytrą-
biamy na dwa głosy z całego gardła jakiegoś
marsza tryumfalnego na znak, że kochamy Ko-
cię nad życie, że jesteśmy bardzo weseli i mamy

nadzieję wybornie się bawić. Oczywiście pies przed domem zaczyna wściekle szczekać i targać się na łańcuchu a my wrzeszczymy dalej, gdy wtem drzwi sąsiedniej izby otwierają się, aby wypłuć dwie osoby, o twarzach na pół zdumionych na pół wylękłych hałaśliwą napaścią: Kapuścińscy!...

...Nie wszyscy wiecie, kto jest Kapuściński. Jestto mój nieoficyalny ale wpływowy opiekun, umocowany przez moją matkę i całą konstelację bezdzielnych wujów i ciotek, którym załatwia różne interesa, — do dyskretnego czuwania nademną, wypłacania mi pensyi ect.

...Nim zdołałem ochłonać z przerażenia, przebiegle-głupia gęba Kapuścińskiego obleka się w wyraz szczęścia bez granic:

— A!... pan Gustaw!... pan Franciszek!... Witajcie!... Co za niespodzianka!... Co oni tu nie nawieźli...

...Bierze nas bez namysłu za swoich gości, a nasze kosze, kosze napełnione przezemnie z takim pietyzmem ulubionemi przysmakami Koci, za gościniec dla siebie i swojej baby...

...W chwili kiedy mu w myśli kości łamałem, Kapuściński całował mnie czule i ślinił, wykrzykując raz po raz:

— Poczciwi!... Pamiętali o nas... Niech wam Bóg za to zapłaci!...

...A Franek już zaczął oczkować z Kapuścińską. Ten świętuch nie przebiera. Zawsze głodny! — i gotów jeść wszystko, co się nawinie. A ona zdaje się pochodzi z tej samej rasy.

...Tymczasem Kapuściński, obwąchawszy już moje pakiety i flaszki, wręczywszy bukiet, przeznaczony dla Koci, swej żonie i popchnąwszy w me objęcia, dla Koci otwarte, tę starą kokietkę — wykrzyknął uroczyście:

— Drodzy moi!... W samą porę przyjechaliście!... Z nieba nam spadacie!... Wyobraźcie sobie, co my tu mamy za chryję!...

...I uchyliwszy drzwi do sieni, aby go było lepiej w całym domu słyhać, — wytacza sprawę.

...Wynajęli mieszkanie jeszcze w zimie na całe dwa miesiące, obecnie wprowadzili się, zapłacili z góry, bardzo dobrze.

— Ale chłop — powiada — wyniósł się na lato z całą rodziną do stodoły i stajni, i mając drugą połowę chałupy do wynajęcia, wynajął ją — zgadnijcie komu?... Albo nie wysilajcie się lepiej napróżno, bo nigdy nie zgadnicie.

...I stanąwszy na progu, krzyknął w kierunku drzwi przeciwnych, po drugiej stronie sieni, tak, aby go Kocia, mieszkająca tam, słyszeć mogła:

— Kokotce!... Tak jest. Jak mnie tu żywego przed sobą widzicie, demimondówce z Pałacowej ulicy, której fach zresztą poznać łatwo z jej miny, choćby mi jej nie pokazali byli swego czasu rzeczoznawcy. Pomyślcie panowie, co za położenie!... Egzystencya po prostu niemożliwa w takim sąsiedztwie!... Bo ona przyjmuje u siebie — no pozwól duszko, ale muszę dotknąć tej niemiłej materji — odkąd tu jesteśmy, nie było prawie dnia, żeby... To się niby wydaje nic, co się

dziać może za ścianą. My w istocie nie widzimy, nie słyszymy i nie możemy na pozór wiedzieć — ale to się przecież czuje!... to człowieka oburza!... to... to... Przecież to pod jednym dachem! Przechodzący, którzy coś niecoś wiedzą, mogą się odwracać od nas i od naszych okien, myśląc, że to tu... Przybysze zaś, niedokładnie poinformowani, mogą zbłądzić do nas, myśląc, że wchodzi tam — i na odwrót, nasi goście narażeni są na to, że przez pomyłkę zamiast tu, dostaną się do mieszkania tej lafiryndy... Kiedy pomyśle, że podobna przykrość i was mogła spotkać, moi mili...?! A potem na letniem mieszkaniu pragnie się spokoju i świeżego powietrza, dla duszy i dla ciała zarówno... Zażądaliśmy więc od chłopca, ażeby jej wymówił mieszkanie... Czy wiecie, co nam ten opryszek odpowiedział?!... Że ona tak samo płaci jak i my a nawet lepiej... „Nawet lepiej!“ — czy słyszyście?... Co za cynizm. Ba! ma czem płacić!... Ale ci chłopcy?!... Pomysleć, że są ludzie, którzy ujmują się za nimi...

...Wszystko to wrzeszczał umyślnie w stronę drzwi Koci, aby jej dokuczyć. Zakończył wreszcie apostrofą:

— No, powiedz pan sam, kochany panie Gustawie, czy to nie ohydne?...

...A ja, który o tem wiedziałem doskonale że Kocia w tej chwili z całej siły przyciska do drzwi swoich to jedno ucho, to drugie i który pragnąłem w te małe, śliczne uszka szeptać najpięszcoteliusze i najweselsze rzeczy w świecie,

musiałem odrzec pełnomocnikowi moich bezdzietnych wujów i ciotek:

— Tak, to ohydne — jakbym brał jego stronę.

...Jednem słowem, chłop ani Koci wypowiedzieć, ani też czynszu z góry pobranego zwrócić nie chce. Z zimną krwią oświadcza, że nikogo obchodzić nie powinno, kto z drugiej strony sięni mieszka i czem się zajmuje. Każdy powinien patrzeć swego nosa. Ale to nic jeszcze. On nie życzy sobie w ogóle pozbywać się Kapuścińskich, zarabiając od nich nie tylko za mieszkanie, ale za nabiał, warzywa, jagody, drób, usługę, co przy braku letników tego roku wiele znaczy. Więc odmówił im koni do przeprowadzki. Ponieważ zaś jest znanym we wsi zabijaką, którego się wszyscy boją, więc nikt z obawy przed nim nie chce im domu podnając ani udzielić koni. Cudem znaleźli sobie izbinę na leśniczówce, małe pół milki stąd. Teraz zaś drugi, jeszcze większy cud, zsyła nasz wózek i konia, którym przyjechaliśmy a który pozwoli im oswobodzić się od tego sąsiedztwa zbratanych plugastw wielkiego miasta i wsi.

— No, moi drodzy, skoroście nas odwiedzili na willegiaturze — poznajcież wszystkie rozkosze willegiatury.

...I uchwyciwszy oburącz za jeden koniec stołu, miodowym uśmiechem zmusił mnie, abym uchwycił za drugi i zaniósł go z nim na wózek. To samo stało się z resztą rzeczy: z kanapą, krzesłami, łózkami, olbrzymim kufrem, z całą kupą pudeł, garnuszków i pościelą. Pracowaliś-

my jak tragarze, śmiejąc się wesoło i żartując, oni, jako uprzejme gospodarstwo, ja, jako dobrze wychowany gość, Franek, jako ostatnie bydłę, a chłopci pod płotami, jako liczna galeria doskonale bawiących się widzów, którym religia zabrania ciężkiej pracy w dzień świąteczny ale nie broni wcale śmiać się do rozpuku z spoconych, zziających, potykających się i niezaradnych ciarachów. Daremnie siliłem się na to, aby dorwawszy chwili, wpaść ukradkiem do Koci-i zamienić z nią słowo. Kapuściński, w obawie, aby wśród przeprowadzki coś nie zginęło, deptał nam nieustannie po piętach.

...W ostatniej chwili, kiedy już kopiało naładowany wózek gotów był do odjazdu, rozpacz podyktowała mi szatański fortel. Wsunąłem w kącik za drzwiami moją laskę, aby, skoro się oddalimy na jakies 200 kroków, nagle zawołać: „Do licha!... Gdzie moja laska?...“ — wrócić po nią, rzucić się Koci w objęcia, zapewnić ją, że ją kocham nad życie i cokolwiek mówić.

...Zaledwieśmy jednak ruszyli z miejsca, Kapuściński, który znikł, po to widocznie, aby raz jeszcze wsunąć swój długi nos we wszystkie szpary i kąty, zawołał z tyłu za nami:

— Który to z panów zostawił sobie laskę?!...

...Zawyłem w duchu: „Bodajś się nią udławił“ — odwróciłem się jednak i z najmiłszym, na jaki mnie tylko stać, uśmiechem:

— Ach! to moja!... — rzekłem. — Przepraszam!... Serdecznie dziękuję!..

...Kapuściński ujął mnie pod ramię, to bydlę Franek szedł już pod rękę z jego żoną — z tyłu leciały za nami śmiechy chłopów i jakaś piosnka podejrzanego treści.

— Prawda, jaka tu piękna okolica? — zapytał mnie Kapuściński. — Tylko drogi liche. Musimy się posuwać krok za krokiem.

...W połowie drogi kamienistej i pełnej wyboi musieliśmy się zatrzymać. Kanapa, ustawiona w poprzek wózka, podskakując na kamieniach, zaczęła zjeżdżać ku jednej stronie i groziła wywrotem całego misternie spiętrzonego ładunku sprzętów. Pół godziny czasu i nowy zapas sił zabrało nam przywrócenie równowagi wśród bagaży. Potem ruszyliśmy dalej i znowu noga za nogą, jak żółw, posuwaliśmy się ku jakiemś domkowi na zboczu lasu, który Kapuściński ciągle wskazywał, a który zdawał się uciekać przed nami.

...Nakoniec stanęliśmy na leśniczówce. Powtórzyła się historia z ładowaniem mebli, tylko w odwrotnym kierunku. Nastąpiło rozmieszczenie ich, urządzenie mieszkania.

...Przyszło mi na myśl:

— A gdyby tak zachorować nagle?...

...Ale nie! Kapuściński dla wyłgania od kogoś z mojej rodziny dowodów wdzięczności za troskliwość, gotówby mnie jeszcze osobiście odwiedzić do miasta.

...Więc dzwigałem graty, ustawiałem łóżka cuchnące pluskwami, przybijałem gwoździe, zbijając sobie palce młotkiem, a wszystko to z hu-

morem, aby się nie zdradzić, i z zapalem, aby ocalić bodaj godzinę przed odjazdem dla Koci. Spieszyłem się z robotą, jakby mi za nią zapłacić miano, pracowałem za dwu, za trzech, za wszystkich, aby prędzej skończyć. Co?... I ty pracowałeś?... A tak. Istotnie. Poszli oboje z Kapuścińską trzepać z kurzu firanki. Trwało to tak długo, że inny na miejscu jej męża byłby przynajmniej humor stracił. Ale ten cymbał nawet nie spojrział na zegarek.

...W końcu gniazdko usłane zostało jak należy. Otarłem pot z czoła i pomyślałem: „nareszcie jesteś wolny“ — z zadowoleniem człowieka, który ciężko na wyzwolenie pracował. Wtem otwierają się drzwi — i ukazuje się Kapuścińska, wprowadzając dziewczkę leśniczyny z tacą, na tacy: moje ciasta, moje wędliny, owoce, wino, cała uczta, przywieziona dla Koci!...

— Po pracy należy się nagroda!... — miała czelność powiedzieć.

...Daremnie się zarzekałem, tłumacząc, że muszę wracać osobowym pociągiem, który odchodzi za godzinę.

— Nie! najdrożsi! Nie puścimy was za nic w świecie!... A toby dopiero ładnie było, po tem, co panowie dla nas uczyniliście, pożegnać was, nie nakarmiwszy, nie napiwszy, nie ugościwszy... W niedzielę zresztą w osobowych przepełnienie, tymczasem pospiesznym w godzinę później, mówię wam: królewska jazda!...

...A Franek... ten wyrzutek!... potakiwał mu. Ba! jemu się świetnie wiodło. Ponieważ samo-

war zgasł na stole, wynieśli oboje z Kapuścińską machinę na dwór i dmuchali w nią, dając słowo, z trzy kwadrans!... Zniecierpliwiony zwróciłem na to uwagę Kapuścińskiego. Uspokoił mnie z flegmą, że samowar jest „trochę“ popsuty. Tego mi było za dużo. Wrzasnąłem na niego z wściekłością:

— Ależ panie! pański samowar jest kompletnie do niczego!... — aż na krześle podskoczył.

...Zrezygnowałem wreszcie w duchu z odjazdu pospiesznym. Pojadę rano — myślę. Narażę się szefowi, ale przebłagam Kocię. Nie mogę przecież, nie potrafię w drodze na kolej minąć jej domu, nie wstąpiwszy; a skoro wstąpię...

...Lecz wyobraźcie sobie, co te potwory mi robią!... Odprowadzają nas na kolej!...

— Nie! nie puścimy was samych. A toby dopiero była gościnność!!

...I odstawili nas osobiście na dworzec. Ona Franka, a mąż jej mnie. Sam nam kupił bilety, wsadził do wagonu, zatrzasnął za nami drzwiczki i posyłając nam razem z żoną całusy, zaklinał, bestya, już po sygnale, zdążając przez chwilę po wyruszeniu pociągu za naszym okienkiem:

— A przyjedźcie znów kiedy przepędzić z nami takie rozkoszne popołudnie!...

...Zaczęli powiewać chustkami, my powiewaliśmy także — właściwie on powiewał, ten łotr Franek, więc i ja musiałem...

...Czy wiecie, jakie jeszcze za to, że go z sobą wzięłem, że mu zapłaciłem kolej, że jadł,

pił i przyprawiał rogi Kapuścińskiemu za moje pieniądze — jakie na domiar wszystkiego popełnił łajdactwo?...

...Kiedy pociąg wysunął się z wolna za stację, chciałem wyskoczyć z wagonu, aby powrócić do Koci, i wyszedłem w tym celu na platformę. Tymczasem ten zdrajca woła konduktora i we dwóch zatrzymują mnie za surdut.

— Ocaliłem ci życie!

— Ale mi urwałes poję!... idyoto.



SPIS RZECZY.

	Str.
Liść figowy	5
Afisz	11
Bratnie dusze	20
Dziadzio	24
Ludzie zasad	30
Ostateczność	38
Kurczęta	45
Noc	49
W maju	56
Ostatnie słowa	59
Odwidziny	64
Zbrodnia	71
Układ	78
Serce z piernika	83
Szczęśliwi	89
Statua	93
Album	96
Górnik	106
Lulu	111
O byt	113

II.

Śmierć	116
Przeszkoda	119
Wichrzyciel	122
Samobójstwo	126
Kluski	131
Czemu?	143
Łzy	150
Biały wróbel	158
Upały	161
Wizyta	169
Piłka	174
Niemoralna historia	177
Majówka	183

Biblioteka WSP Kielce



0121941

Kraków, 11 maja 1900 r.